Nr. 5. Kraków, dnia 30 Stycznia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Z powodu głośnego procesu.

(Na marginesie sprawy Borowskiej).

Gdyby kto dziś chciał się przekonać, kto jest obecnie w Polsce najpopularniejszą kobietą, kto najsilniej zajmuje umysły wszystkich, doszedłby do przekonania, że nią jest — Borowska. Na ustach niemal wszystkich, jest przedmiotem poważnej dyskusyi prawniczej lub tematem sensacyjnym rozmów „pikantnych“. Dramat życia Włodzimierza Lewickiego i Janiny Borowskiej, którego akt ostatni rozgrywa się przed sądem przysięgłych w Krakowie, zaciążył niezwykle silnie nad umysłami całej Polski.

Rozdmuchała go w dużej mierze prasa nasza, która, poddająca się żądzom szerokich tłumów a nie regulująca ich upodobań, w długich niezmiernie, łokciowych sprawozdaniach z procesu, sprawę samą wśród ogółu popularyzowała, a w dostarczaniu wiadomości o procesie nie uchylała się przed obnażeniem wszelkich świętości.

Boć przecie wdzieranie się do komnaty sypialnej, rozważanie kwestyi, czy dziewczynka, córka oskarżonej, jest dzieckiem jej męża czy kogo innego, rozpatrywanie życia prywatnego rozmaitych osób — to jest wkraczaniem w najdrobniejsze przejawy życia, pastwieniem się nad tem, co człowiek w uczuciach swoich uważa za dostojne i święte. A tymczasem wszystko plugawią mu na sali, to wszystko rozdrabia ogół, stłoczony w sali i zatopiony w zeznaniach, byleby nie uronić ani jednego szczegółu, to wszystko staje się udziałem ogółu czytającego i debatującego nad tem, co pan X. Y. porabiał u pani A. B. o tej a o tej godzinie.

Proces Borowskiej jest skandalem spółczesnym, świadczącym o deprawacyi dusz naszych i karleniu naszych ideałów.

Cokolwiek z „bohaterami“ procesu się stało, jakkolwiek ułożyły się wzajemnne ich stosunki, każdy, znający choćby najogólniej sprawę, przyzna słuszność przekonaniu, że atmosfera wytworzona przez obie główne postaci, była atmosferą brudu i nizin, że tło na jakiem rozgrywała cała akcya, cuchnie gnojem moralnym.

Takie charaktery jak Lewickiego i Borowskiej, mogły się wylęgnąć jedynie na podłożu nienormalnem i niezdrowym. Wzajemne ich bowiem stosunki i tragedya cała są zaprzeczeniem naczelnych zasad współżycia ludzi: miłości i prawdy.

Takie jednak typy nie mogły wyrość oderwane, ani nie mogłyby obudzić u ogółu takiego zainteresowania, gdyby w stosunkach naszych, w umysłowości współczesnej nie znalazły swych odpowiedników. Dziś mamy te typy w życiu, a przed lat dziesiątkiem mieliśmy je w literaturze.

Przypomnijmy czasy, kiedy Przybyszewski zdawał się być heroldem nowych idei w społeczeństwie, i bodaj był przez niektóre sfery za takiego uważany; przypomnijmy te czasy, kiedy Sienkiewicz pod adresem pisarzy siejących w społeczeństwo gangrenę moralną rzucił słowa: „ruja i porubstwo“, to większość młodych pisarzy jak sfora zaczęła najwybitniejszego pisarza polskiego odzierać z zasług wszelakich i cnót.

Przez dziesiątek lat starano się zburzyć „stare“ ołtarze i zbudować nowy kościół zasad i poglądu na świat: co uważano dotąd za cnotę, było filisterstwem, co miano dotąd za czyn obywatelski, było w myśl nowego kanonu, krępowaniem indywidualności osobistej obowiązkami społecznymi i narodowymi; w miejsce pojęcia Boga, narodu, obowiązku, stawiano zasadę: osobistego użycia.

W tej atmosferze hodowała się młodzież ówczesna, te miazmaty wsiąkały nieustannie, choć niewidocznie może, w ogół.

Do tej rewolucyi duchowej, dekadencyi umysłowej, przyszła wnet rewolucya czynu, dekadencya w tajemnych stosunkach ludzkich. Rozbudzone nad wyraz nadzieje z powodu wojny rosyjsko-japońskiej, nadzieje odwetu prześladowań

i poderwania państwa rosyjskiego, spowodowały radykalne wystąpienie polskich partyi politycznych nie tylko przeciw rządowi najezdczemu, ale także przeciwko społeczeństwu własnemu.

Jeszcze dziś krwawem wspomnieniem są nam bratobójcze walki między robotnikami Łodzi, Pabjanic, Zgierza; mordowania niewinnych obywateli, nie chcących uledz przemocy i sprawujących rzetelnie swój obowiązek; napady złodziejskie i bandyckie już nie na urzędy rządowe, ale na instytucye własne i osoby prywatne.

To był posiew zasad zwyrodniałego indywidualizmu i osobistego użycia.

Czyż nie jest zrozumiałem, że w tych warunkach mogą wyrastać takie typy, jakieśmy widzieli w głośnym procesie? Czyż nie jest widocznem, że teraz wśród ogółu wyrastają jednostki, wyhodowane taką lekturą i wyrzeźbione takimi przykładami życiowej dekadencyi?

Skonstatowanie złych objawów i ujęcie ich przyczyn nakłada na społeczeństwo odpowiednie obowiązki.

***

Co tydzień niesie.

Kraków, 23 stycznia.

Tydzień miniony miał najsilniejszą atrakcyę w obradach *Sejmu*. Toczyła się dyskusya budżetowa, o tyle charakterystyczna, że mało w niej było mowy o finansach kraju, ale za to wiele o polityce krajowej.

Wiadomo, że po ostatnich wyborach parlamentarnych w r. 1907., większość posłów galicyjskich nie należy do stronnictwa konserwatywnego, któremu nawet odpadło stanowisko prezesa Koła Polskiego w Wiedniu, jakie zajmuje demokrata dr. Stanisław Głąbiński. Konserwatyści nie chcą pogodzić się z tą myślą, że obecnie, w okresie tak szybko postępującej demokratyzacyi kraju, ster rządu musi przechodzić w ręce demokracyi, starają się więc znaczenie demokracyi podkopać i odwrócić od niej zaufanie ogółu.

Atak taki na demokracyę konserwatyści właśnie wykonali w Sejmie. Nasamprzód opinię powszechną starali się zaniepokoić różnemi obawami, a potem w Sejmie w przemówieniach posłów: Starowieyskiego i Hupki uderzyli z całą siłą na Koło Polskie i na dr. Głąbińskiego. Zarzucali mu, że obniżył powagę Koła, że sprzeniewierzył się dawnym zasadom Koła itd. Nawet największy wróg naszej reprezentacyi w Wiedniu nigdy nie robił naszym posłom tylu zarzutów, co swoi.

Ale atak cały na Koło się nie udał. Wystąpienia Starowieyskiego i Hupki były tak brutalne, że oburzyły nawet samych konserwatystów, jak Starzyńskiego i Czaykowskiego, którzy wykazali znaczenie Koła w Wiedniu i dowiedli, że jest najwpływowszem stronnictwem w parlamencie i że uzdrowienie parlamentu ludowego, który przez dwa lata nic nie robił, należy zawdzięczyć jedynie prezesowi Głąbińskiemu. Tak samo jemu należy zawdzięczać utrzymanie Koła, że ono nie rozbiło się wskutek waśni partyjnych. Tak więc sami konserwatyści wyrazili uznanie działalności Koła.

Prezes Koła dr. Głąbiński wyjaśnił szczegółowo sprawę *subwencyi rolniczo-hodowlanych*. Mianowicie rząd za straty, jakie hodowli bydła naszego przyniesie otworzenie granic autryackich dla bydła rumuńskiego, przeznaczył 6 milionów koron wynagrodzenia, wypłacanego przez lat 9. Z tego milion ma iść na cele rolnicze, a pięć milionów na cele hodowlane do rozporządzenia krajów. Rusini chcieli, aby oni dostali dla siebie osobno pieniądze — a na Galicyę przypadnie półtora miliona kor. — a osobno Polacy. Rozdział taki jest niebezpieczny, bo: 1) pieniądze ma się rozdzielać nie między Polaków albo Rusinów, ale między potrzebujących poparcia 2) gdyby Rusini dostali subwencye sami, to, jak to wiemy z praktyki, nikt nie może zaręczyć, czy tych pieniędzy nie użyliby na cele polityczne i partyjne.

Jak prezes Głąbiński wyjaśnił, decydować o rozdziale subwencyi mają prawo instancye krajowe, a więc Sejm i Wydział krajowy. W jaki sposób należy tych pieniędzy użyć, pojawił się projekt posła Skarbka, domagający się utworzenia funduszów na zakupno i dokupno pastwisk, na melioracyę pastwisk i nieużytków, na utworzenie krajowego zakładu ubezpieczenia bydła od wypadków i zarazy i na popieranie mleczarstwa.

Z innych spraw polskich w Sejmie podniesionych najważniejszą jest sprawa *Banku parcelacyjnego*. Założony przed 12 laty zapowiadał się znakomicie i mógł był ludowi oddać ogromne przysługi. Ale Bank popełnił nasamprzód błąd ciężki, bo parcelował ziemię polską we Wschodniej Galicyi między Rusinów, a nadto postępował nieuczciwie, bo liczył wiele za administracyę, „zdzierał“ kupujących ziemię. Obecnie chodzą głosy, że działy się tam oszustwa i fałszerstwa, że o oszustwa powytaczali chłopi skargi sądowe Bankowi. Bank obecnie popadł w długi tak wiel-

kie, że musi się zlikwidować. Na 31 stycznia naznaczono zebranie likwidacyjne. Winna tej skandalicznej gospodarce dyrekcya Banku, ale też winni są także i opiekunowie banku, co go zawsze osłaniali i skąd brali grube pieniądze na swe cele.

Pomiędzy *Rusinami* w Sejmie zgody niema. Są teraz trzy kluby: ukraiński, staroruski i rosyjski pod wodzą Dudykiewicza. Jest to śmieszna nazwa, bo w Galicyi Rosyan *niema*, ale p. Dudykiewicz, który ciągnie ku batiuszce Rosyi, gwałtem tę narodowość chce stworzyć. Rząd zapowiedział, że tego nie ścierpi i nie pozwoli na taką agitacyę.

Dużem echem w kraju odbił się *strajk dzieci polskich* w Polskiej Ostrawie i Michałowicach na kresach zachodnich w Cieszyńskiem. Mianowicie tam Czesi nie chcą dopuścić do szkół polskich. W polskiej Ostrawie, choć tam żyje 12.000 Polaków, a tylko 8.000 Czechów, czeski wydział gminny nie chce budować szkoły polskiej, a w Michałowicach Czesi szkołę naszą umieścili w dawnym szpitalu i trupiarni! Rodzice Polacy postanowili przeciw temu zaprotestować i przestali dziatwę posyłać do szkół. Tak wygląda z blizka „braterstwo czesko-polskie.“

Inaczej.

Inaczej *serce* żąda
Inaczej *myśl* sądzi
Inaczej *świat* spogląda
Inaczej *los* rządzi.
(Kniaźnin).

Tak łatwo narzekać i żalić się: — Chciałem inaczej, ale wszystko inaczej poszło!..

Tak łatwo szukać winy we wszystkiem i u wszystkich, byle tylko nie rzec, iż właśnie owo inaczej przez naszą nieudolność wyrosło.

Matka powiada: — Inaczej chciałam moje dzieci wychować, ale świat je popsuł i zmienił im duszę.

Ojciec się żali: — Inaczej chciałem los utrwalić i zapewnić, ale wszystko szło jak z kamienia.

Młodzian woła z wymówką: — Inaczej myślałem pracować, ale rodzice tamę kładli i przeszkody stawiali.

Panna młoda zaś szepce z chmurą na czole: — Inaczej chciałam życiem pokierować, ale świat zły i niesprawiedliwy wszystko mi trudem zamykał i przeszkodami łamał.

Tak w około słychać skargi i tak wszyscy wszędzie widzą kogoś lub coś, co jest przyczyną niepowodzenia, lecz nie dojrzą wiele *inaczej* właśnie oni sami sprowadzili.

— Czy też nigdy życie nie zepsuło planu, a zawsze my sami winni? pyta ktoś z niecierpliwością.

Zapewne! Życie także ma swoje niespodzianki i plącze niejeden raz tkaninę najstaranniej poczętą, ale nie wszelkie niepowodzenia w omyłkach życia się rodzą.

Słusznie mówił Kniaźnin:

— Inaczej serce żąda
— Inaczej myśl sądzi —
— Inaczej świat spogląda
— Inaczej los rządzi...

Życia droga zawisła od wielu przyczyn i skutków, życia kanwa haftowana nie jedną tylko ręką matki, która duszę dziecka stroić zaczyna w koloryt i piękno. Życia pieśń nie śpiewana tylko jednemi usty, które się nad czołem dziecka z uśmiechem miłości chylą.

Ah tak bardzo, tak bardzo bywa inaczej w życiu!.. Serce pragnie ciszy i pogody, myśl szuka wielkich lotów i przestrzeni górnych, świat więzy kładzie i pióra z skrzydeł wyrywa, a okoliczności, zdarzenia, złość ludzka i ludzkie wady jak puhacze biją w skrzydła i szepcą śmierć... śmierć temu co jasne i w słońcu żyje.

Ludzie nie lubią przedewszystkiem tych, którzy do wysokości prowadzą, tych, którzy imponują wyższością ducha, tych, którzy są czyści - biali w życiu, a nie mają plam, więc chcieliby koniecznie wysokie loty wstrzymać i czyste drogi zbrudzić.

Dlatego zaczynają psuć robotę krytyką i szyderstwem.

— Niech pani dzieci za idealnie nie wychowuje, niech ich pani nie wyszlachetnia zanadto, będzie im z tem źle, nie znajdą szczęścia, lepiej, ażeby umiały zastosować się do wszystkich..

Inaczej serce woła, inaczej świat sądzi — czy nie tak?...

A my lękamy się, czy istotnie nie za idealnie i nie za górnie dzieci wyrabiamy duchowo, więc poczynami łamać lot i wstrzymywać w drodze.

Matka wychowuje córkę w najpiękniejszych zasadach wiary, cnoty i poświęcenia. Marzy o tem, iż to dziecko najszlachetniejsze szczęście stworzy w domu tego człowieka, który ją za żonę weźmie.

Inaczej serce pragnie, inaczej świat żąda.

Tak idealnej panny nie bierze najszlachetniejszy mężczyzna. Przeciwnie ów syn, którego znów inna matka wychowała w zasadach najgorętszych uczuć narodowych, żeni się z kobietą bardzo mało wykształconą, pospolitą gąską, u której tylko wdzięk młodości jest ponętą.

Niejedna matka potem z żalem woła: — Źle bardzo wyszłam na pragnieniu szczęścia dziecka, trzeba było wychować zalotną kokietę, byłaby złapała łatwo męża.

Mąż zaś niejeden, skarżąc się boleśnie, mówi: — Inaczej wydawała się owa kobieta panną, inaczej przedstawia się jako żona i gospodyni.

Takich omyłek i rozczarowań tysiące było i jest, ale być nie powinno...

Trzeba umieć wychowywać dzieci tak, ażeby zawsze umiały tem być, czem im być należy, trzeba umieć dobierać żony i mężów, ażeby byli tem czem być mają, trzeba kierować i tem, czego serce żąda i tem, czego myśl pragnie, a jakkolwiek świat osądzi i jaki los przypadnie w udziale, zawsze znaleść najszlachetniejszą i do celu wiodącą drogę.

Przedewszystkiem — trzeba żądanie serca pogodzić z myśli sądem i równowagę rozumu z uczuciem zachować. Gdyby życie nie przynosiło zmian, nie byłoby ono twardą drogą obowiązku.

Płomień

Z działalności T. S. L.

Na posiedzeniu dnia 9 b. m. odbytem w Krakowie przy nader licznym komplecie członków miejscowych i zamiejscowych, tudzież członków Rady nadzorczej przyjął *Zarząd Główny* Towarzystwa Szkoły ludowej do wiadomości sprawozdanie z czynności Biura zarządu głównego, centralnej składnicy książek i wypożyczalni przeźroczy.

Sprawozdanie ze stanu szkół średnich T. S. L. a mianowicie z gimnazyum realnego i seminaryum nauczycielskiego w Białej, gimnazyum realnego im. J. Słowackiego w Orłowej i gimnazyum im. Kazimierza Wielkiego w Kutach, złożył p. inspektor szkolny T. Łopuszański, który wizytując te zakłady stwierdził ich pomyślny rozwój pod każdym względem. Na wniosek kuratoryum gimnazyum w Orłowej uchwalił zarząd główny przystąpić z wiosną r. b. do budowy gmachu szkolnego w Orłowej. Potrzebne w tym celu parcele budowlane zostały już nabyte w porozumieniu z Macierzą Cieszyńską, która razem z T. S. L. łoży na utrzymanie zakładu.

Sprawozdanie ze stanu akcyi zbierania Daru Grunwaldzkiego na szkoły kresowe przedłożył prezes komitetu obywatelskiego p. mecenas dr. Michał Koy. Sprawozdanie to stwierdza, że suma zdeklarowanych ofiar po dzień 31 grudnie 1909 r. wynosi *1.196.642 K.* — Suma pierwszego miliona została zatem już *przekroczona* i te ofiary, które złożone były warunkowo, t. zn.,co do których ofiarodawcy zastrzegli, iż zdeklarowane kwoty będą wpłacone, o ile suma deklaracyi dosięgnie jednego miliona, *stają się ściągalne.* Zarząd główny uchwalił wynik dotychczasowej akcyi ogłosić drukiem w specyalnej broszurze.

Celem wzmożenia *pracy oświatowej* i wzmocnienia *organizacyi T. S. L.* na kresach *zachodnich* uchwalił Zarząd okręgowy T. S. L. *bialsko bielski.* Potrzebę utworzenia tego Związku uzasadnia ogromne zaniedbanie pod względem oświatowym zachodnich kresów Galicyi i graniczącego z Galicyą pasa Śląska Cieszyńskiego. Bialski i żywiecki powiat należą do tych powiatów, w których brak około 35 szkół, również i akcyi odczytowej i o zakładaniu czytelń mało kto tam myślał, a czytelnie założone, wskutek braku należytego nadzoru, powoli zamierały. Przez powołanie do życia bialsko-bielskiego Związku okręgowego T. S. L. stan rzeczy niewątpliwie się zmieni. Do nowego Związku postanowił Zarząd główny T. S. L.: Biała, Bielsko, Hałcnów, Leszczyny, Lipnik, Kęty, Brzeszcze, Mikuszowice, Dziedzice, Żywiec, Milowka i Sucha.

Z tych samych motywów wychodząc, postanowił Zarząd główny powołać do życia Związek okręgowy *stryjski* z Kołami T. S. L.: Stryj, Wełdzisz, Mikołajów n. D., Bolechów, Skole i Dolina.

Związek okręgowy *lwowski* przedłożył sprawozdanie rozpoczętej już budowy bursy Tow. Szkoły Ludowej we Lwowie. Będzie to gmach, który pomieści około 300 wychowanków z pośród młodzieży gimnazyalnej, rzemieślniczej i handlowej. Gmach staje na jednym z najbardziej wyniesionych punktów miasta i będzie okazałą budową, wzniesioną według ostatnich wymagań hygieny i pedagogii.

Komisya *statystyczna* Zarządu głównego T. S. L. w najbliższym czasie ukończy pracę około zestawienia tabelarycznego ze stanu poszczególnych powiatów Galicyi, pod względem kulturalnym, oświatowym, ekonomicznym, wyznaniowym i narodowościowym. Wykonaniem tablic zajmuje się z ramienia komisyi p. prof. Piątkowski w Mielcu.

Ogłoszone drukiem, będą one posiadały doniosłe znaczenie dla pracowników oświatowych, którzy znajdą w nich wskazówki i materyał do dalszego planowego organizowania pracy społecznej w kraju.

Na mym progu.

Na mym progu smutek staje
Codzień w każdy świt...
Jeszcze wierzysz, jeszcze kochasz?
Cyt ptaszyno — cyt!
Nie wyprzędło tobie życie
Złotych szczęścia nić...
Przestań myśleć o dniu żniwa
Przestań sercem żyć!

Na mym progu smutek szepce
Codzień w każdy mrok...
Przestań szukać drogi słońca
Skryj zmęczony wzrok
Nie wytępisz wad u ludzi
Nie usuniesz zmaz.
Jeśli spocząć pragniesz w ciszy
Zmień swe serce w głaz.

Na mym progu smutek czarny
Wciąż kołace wciąż...
Nie wylatuj myślą szybką
Serce chłodem zwiąż
Poco słuchać jęku braci
Na co liczyć łzy?
Nie powstrzymasz krzywdy dłoni
Świat był i jest zły.

Na mym progu smutek woła
I zwątpienia rzuca siew...
Serce smutku szept odtrąca
Jak liść suchy z drzew...
Coć mi życie nie wyprzędło
Złotych szczęścia nić...
Z siejbą wiary i miłości
Iść będę i żyć.

7. 1. 1910. r. Kraków. *Jadwiga z Łobzowa.*

Dzieci japońskie.

Japonia nazywa się słusznie „rajem dzieci“, nigdzie bowiem dzieci nie cieszą się po spełnionych obowiązkach tak wielką swobodą, nigdzie nie mogą się tak długo i wesoło bawić na wolnem powietrzu, jak w Japonii. W miastach środkowej Japonii ulice w godzinach popołudniowych są zapełnione gromadami rozbawionych dzieci, we wszystkich ogrodach rozbrzmiewają głosy dziecięce.

W ogrodach chłopcy współzawodniczą ze sobą, puszczając orły w powietrze lub biegając do mety, a oczy im się błyszczą i twarze czerwienieją od niepohamowanego zapału i wysiłku, doprowadzonego do ostatecznych granic. Dziewczątka również nie siedzą spokojnie, lecz biegają wesoło po ścieżkach ogrodu, dźwigając na plecach różnokolorowe lalki. W zabawach chłopców objawia się wojowniczy duch Japończyków. Najchętniej bawią się mali Japończycy w „sztandary“. Tworzą się dwie partye, jedna ma chorągiewki białe, a druga czerwone. Na dany sygnał rozpoczynają się zapasy: obie partye rzucają się wzajemnie na siebie, każdy z chłopców usiłuje swemu przeciwnikowi wydrzeć chorągiewkę, a ta partya, która zdobyła więcej chorągiewek, odnosi zwycięstwo.

Mieszkania japońskie mają pewne urządzenie, bardzo dogodne dla dzieci. Ściany bambusowe w mieszkaniach japońskich są łatwo przesuwalne, w pewnych tedy godzinach dnia zamienia się kilka pokoików w jedną wielką salę, w której dzieci mogą się swobodnie oddawać zabawom i igraszkom. Japonia jest krainą uroczystości i zabaw, więc też i dzieciom Japończycy bynajmniej nie skąpią uciech.

Co roku w marcu święcą dziewczęta japońskie wielką uroczystość lalek, która trwa siedm dni. Każde dziewczę japońskie czyni do tej uroczystości długie przygotowania, urządzając sobie małą wystawę lalek, przybranych w jak najpiękniejsze sukienki. Jedne lalki przedstawiają tancerki i gejsze, inne zaś rycerzy, tkwiących w starej, fantastycznej zbroi i dzierżących w ręku miecz praojców. Podczas święta lalek małe przyjaciółki odwiedzają się wzajemnie, a każda pokazuje swe lalki rówieśniczkom. Na te dnie mała Japonka wdziewa najpiękniejszy swój strój, barwi sobie usta staranniej niż zwykle i przyozdabia włosy najpiękniejszemi srebrnemi szpilkami, jakie posiada.

Na dzień 5 maja przypada wielkie, „święto chłopców.“ W tym dniu przymocowują rodzice, posiadający chłopców, do domów swych tyleż tz.



Artur Grottger. PRZYSIĘGA.



Artur Grottger.

BITWA.

„orłów“ ile mają chłopców. „Orły“ te są rozmaitej wielkości stosownie do wieku chłopców, których istnienie oznajmiają, a mają kształt karpia. Karp bowiem uchodzi za rybę śmiałą, która umie nawet pływać przeciw prądowi. Karp jest więc najlepszym symbolem wychowania, jakie chłopcy japońscy otrzymują. Podczas gdy małe dziewczątka uczą się wykonywać trudne, zawiłe i bardzo artystyczne tańce, grać na lutni japońskiej, dziwacznie skonstruowanej i pleść wianki z kwiatów — to chłopcy uczą się pisać i zdradzają już bardzo wcześnie zadziwiającą żądzę wiedzy i wytrwałą energię w dążeniu od wytkniętego celu.

Komunikacya napowietrzna.

To, co lat temu kilkadziesiąt, a nawet kilkanaście wydawało się i niejednemu inżynierowi mrzonką czystą, stało się obecnie rzeczywistością: możemy myśleć o urządzeniu stałej komunikacyi napowietrznej. Wprawdzie istnieją jeszcze osoby, wątpiące w taki rozwój sztuki sterowania balonami względnie aeroplanami (maszynami do latania), iżby balony i latawce sterownicze służyć mogły celom powszechniejszym, aniżeli sportowi.

Zajmującem jest wspomnienie, że lat temu kilkanaście nawet taki inżynier-konstruktor jak Siemens, uważał próby stworzenia balonu sterowniczego za pracę daremną, straconą...

A po dziś dzień?!...

Balony sternicze Zeppelina, Lebaudy'ego, Parsevala, Grossa itd., a dalej maszyny latające Farmana, braci Wright, Delagrange, Bleriota, Lathama i innych stawiają nam wymownie przed oczy chwilę, gdy ludzkość będzie się mogła takiemi machinami posługiwać nie tylko w celach sportu, lecz i *dla przewozu osób i towarów* sposobem napowietrznym.

Umożliwiło taki stan rzeczy udoskonalenie *motoru wybuchowego*, którego początki datują z przed ćwierci wieku. Wówczas jednak, lat temu 25, nikt zapewne z publiczności nie przypuszczał, że owe motory benzynowe itp, o których coś niecoś czytywał, wkrótce przeobrażą zupełnie technikę komunikacyi.

Udoskonalenie zastosowania motorów wybuchowych zaczęło się od wozów podróżnych. Lat dziesięć temu jeszcze było dużo przeciwników automobilu, uważających wozy takie samochodzące nietylko za niebezpieczne dla ruchu ulicznego, ale także jako brzydkie, nieestetyczne.

Dziś, gdy niejeden dwór ma na usługi kilka do kilkudziesięciu automobilów, gdy większa część arystokracyi czy to rodowej, czy pieniężnej, posprawiała sobie samochody, gdy niejeden kupiec większy, lekarz, adwokat itp. mający dużo interesów, nie może sobie wyobrazić załatwienia ich bez doróżek samochodowych, chyba liczba zasadniczych przeciwników samochodu znacznie zmalała!..

Podobnie, jak lat temu dziesięć mylne były powątpiewania o przyszłości automobilu, podobnie też nieuzasadnione są wątpliwości co do maszyn latających. Aeroplanów przyszłość polega na tych samych zasadach, na jakich rozwinął się przemysł powozów i doróżek automobilowych. Sercem ich i rdzeniem motor wybuchowy! Motory te doszły skutkiem ciągłych na tem polu wynalazków do takiego udoskonalenia, że najmniejszej nie ulega wątpliwości, iż wkrótce odpowiednie do ich działania konstrukcye latawców da się wynaleść i w takim rodzaju, iżby maszyny te służyć mogły celom handlu, przemysłu i komunikacyi osobowej.

Mówiłem w ostatnim ustępie o maszynach-latawcach, gdyż zdaje się, że balony sternicze, choć także pędzone motorami wybuchowymi, nie będą mogły podążyć za rozwojem tamtych statków napowietrznych, albowiem ruch ich będzie zbyt krępowany wpływem zmian temperatury na zmniejszenie się i rozprężenie gazów napełniających balon, to jest w danym razie na konieczność napełnienia balonu znowu — przy dłuższej podróży — podczas gdy żywotność aeroplanu dobrze zbudowanego zależy tylko od wytrzymałości motoru i zasobów benzyny itp.

Zapewne więc za lat kilka stosunki komunikacyjne zmienią się o tyle, że wielką część komunikacyi osobowej przejmą aeroplany.

Nie trudno sobie wyobrazić, że wobec tego zmieni się wygląd miast, szczególnie wielkich. Może zmniejszy się ilość dworców kolei żelaznej, a natomiast ujrzymy na krańcach miast dworce dla maszyn latawców. Maszynom tym potrzeba do odlotu i do spustu dość dużych płaszczyzn; zapewne więc na krańcach miast urządzą odpowiednie ku temu place, później zaś i w śródmieściu każdem stawiać będą domy z płaskimi i silnymi dachami jako „przystanek“ dla aeroplanów. Oczywiście, dopóki w środkach miast będzie dużo wysokich kominów fabrycznych, szczytów ostrych itp., komunikacya za pomocą maszyn latawców będzie możliwą tylko z przedmieść względnie z pogranicza miasta, ale z czasem może *potrzeba* zatrzymywania i wypuszczania aeroplanów w środku



Rekonwalescentka.

miasta zniewoli do zmiany sposobu budowania kamienic itd.

Pamiętajmy, że po dziś dzień postęp techniczny jest szybki i stosowanie się do wymagań, wywołanych nim, także odbywa się szybko. Toż ćwierć wieku temu Daimler, wynalazca motoru wybuchowego, gdy go ofiarował do nabycia pruskim władzom wojskowym, jako środek komunikacyi, napotkał uśmiechy litościwo-pogardliwe! A dziś Zeppelina, posługującego się motorem podobnym, wynoszą pod niebiosa!

Poznań. *Dr. Marian Kryzan.*

JASIEK U PAŃSTWA.

— Jużci!... Wzięni go...

— Powiadają, że teraz świat stygnie i niema w nim takiej miłości jak dawniej, a przecie trafiają się ludzie jak z nieba zesłani.

— Wzieni Jaśka i przez żadnej zapłaty, a chłopiec sobie chwali, dobrze mu, wybrał się tera, wybielał, nawet do jedzenia inaczej się mu nawróciło. Jak to pasało bydło, to bywało jak przyżenie, a deszcz go sprał, nawet i pojeść nic nie

chciał, jeno sobie legnął i spał. — Tera mu inaczej.

— Jak go Państwo chcieli brać, tak ojciee pyta, może choć cztery korony na miesiąc zapłaci, choć mu ciężko, ale Państwo rzekli: przez niczego go wezną, nawet ani poduszczyny nie kazali przynosić, powiadają, znajdzie się dla niego poduszka.

— Sama pani, to jak anioł, nie burknie nigdy, nie uprzykrzy jej się chłopiec, a tera kupili mu całe ubranie i kamaszki, a on sobie chwali, że mu dobrze.

— Pierwszego tygodnia dziwnie mu było, każe mu pan kąpać się. Jakże to w pokoju kąpać się?.. Niby tam, jak bydło pasał, to nieraz z dzieciskami skakał do rzeki, ale nie dziwota w wodzie, co płynie, a piasek pod nogami... a tu kamienica, ściany malowane i kąpaj się.

— Co się pan nabiedził nim chłopiec to pojął i do takiego niby koryta wlazł, aby się kąpać. Dopiero jak się puści na niego deszcz zimny, Jasiek myślał, że koniec... Takie to państwo mają wymysły, a wygody, że niby inaczej to w mieście jak w chacie.

A te panienki co są u Państwa, to niby Jaśkowi o wszystko się troskają. Trzeba mu zadanie niemieckie napisać, jużci starsza wszystko poradzi, bo nie dziwota, ze wsi chłopczyna, tak mu nie lekko niemieckie idzie. Trzeba co do czytania, dadzą mu, a ta młodsza jeno ciągle „kołnierzyka Jaśkowi trzeba“.

Opatrzność Boska nad chłopcem, a już chyba duszyczka jego matki u Boga to wyprosiła, bo gdzieżby to „przez matki“ modlitwy takowa opieka dziecko spotkała.

Chłopiec ma talent do rysunków, każdy to powiada, kto ujrzy jego malowanie; tak zeszłego roku biedował w mieście na stancyi, na mizernej stancyi, a „wicht u Felicyantek“ miał. Ujrzeli tamci Państwo jego malowanie i ulitowali się. Jasiek do szkoły chodzi już po śniadaniu i na na obiad ma mięso, a wybrał się jakby nie ten sam... Tego tylko nie może pojąć, za co jego lubią i czemu nikt go nie bije, czemu tu przekleństwa nie słychać i jak to może być, aby „przez“ zapłaty jemu to wszystko dawano, kiedy inni jego koledzy tak biedują i opieki nie mają, a nawet choćby lekcyami chcieli zarabiać, lekcyi dostać nie mogą.

— Jasiek niby to nie jeden raz pyta się: — co to za serce u tego państwa, że go wzieni i nie gniewają się, a jakże mu powiedzieć na to?... Jużci!... Stateczne Państwo i po uczciwości żyje... kiedy nie gardzi biednym, a jeszcze i opiekę daje... bo co Państwo rzetelne, to każdy przyzna. Dzieci swoje mają, a nie żałują chleba i dla biednego, choć niby ze wsi i chłopskiego rodu.

— Jeno, że to Państwa takowych mało na świecie, a Jaśkowi ino duszyczka matki to uprosiła. Ostał się sierotą wcześnie, mizerny był i nie istny, jeno tylko malunki mu się patrzyły i do nauki się rwał, tak teraz uczy się, „wybrał się“ tera, zje z mięsem i wszelaką opiekę ma.

— I to powiadają, że świat teraz stygnie i niema w nim miłości jak bywała dawniej... a przecie są ludzie jakby z nieba zesłani...

— A Jasiek sobie tera chodzi do muzeum, przed obrazami Matejki stanie i patrzy, a patrzy, aż mu dusza cała w oczach świeci i niby zdaje mu się malować kiedyś będzie pięknie... Może wymaluje, jak sierotę ze wsi wzieni państwo rzetelni i dali mu opiekę poczciwą.

Daj to Boże!...

Jan Świerk.

Żenić się — czy też nie?

Pod tym tytułem odpowiada w jednem z pism wiedeńskich pani Emma von B. na ankietę, rozpisaną celem wysondowania opinii publicznej o będącym w projekcie nowym „podatku na kawalerów“.

Mając odpowiedzieć na pytanie, czy jestem za podatkiem na kawalerów, czy też nie — odpowiadam, że jestem za związkiem małżeńskim, a przeciw temu podatkowi.

Możliwe, iż jako mężatka, ciesząca się zupełnem szczęściem małżeńskiem, wyrażam w tej sprawie zbyt jednostronny sąd, jednakże jestem przekonaną, że wszystkie środki przymusowe na mężczyzn nic nie wskórają. Matki i ojcowie mają znacznie lepsze sposoby, aby mogli wydać córki za mąż, aniżeli te środki, jakie państwo zamierza im dać do dyspozycyi. Sposobami tymi są: wychowanie córek na kobiety zdrowe, dzielne, wykształcone i oddanie ich na żony tym mężczyznom, którzy okażą się rzetelnymi, jakiekolwiekby zajmowali stanowisko. Pięcie się w górę przeszkadza w dojściu do skutku bardzo wielu małżeństw.

Następnie p. Emma von B. zdaje relacyę z wieczoru odbytego u niej, podczas którego rozmawiano o projekcie obłożenia starych kawalerów podatkiem, i wogóle na temat, dlaczego męż

czyźni się nie żenią, i podaje do wiadomości opinię wypowiedzianą w tej mierze przez niektórych z gości, przyczem podaje ich sylwetki.

Nr. 1. Mężczyzna bardzo dobrego serca, jest radcą, pozatem ma wiele dobrych zalet. Nie żeni się dlatego, ponieważ kobieta, to znaczy młoda dziewczyna zdaje się mu być zbytkiem. Dowodzi on tak; teraz kosztuje mnie wprawdzie utrzymanie domu tyle, jak gdybym był żonatym, ale gdybym się ożenił, to musiałbym jeszcze znosić chimery i kaprysy zbytkowe mojej żony.

Nr. 2. Domator, uczony, mówi, że jeszcze nie znalazł chwili odpowiedniej, ażeby się mógł ożenić, gdyż pewny jest, że żona przeszkadzałaby mu tylko w pracy itd. Jest on niepoprawnym wrogiem kobiet, na którego nawet podatek na kawalerów nie miałby wpływu.

Nr. 3. Idealista. Był raz zaręczony, ale narzeczona umarła mu. Zapewnia, że od 14 lat nie znalazł jeszcze drugiej takiej kobiety, którą mógłby pojąć za żonę i wedle jego zdania nigdy się już nie ożeni.

Nr. 4. Młody uczony, przytem człowiek ideałów, tak samo, jak Nr. 3, wskutek romansu miłosnego stał się wrogiem małżeństwa. Mianowicie zakochał się on przed laty w jakiejś panience, aż po uszy, rodzice jednak jego przyszłej postawili mu takie żądania, że wypełnienie ich uważał niejako za poniżenie siebie. A mianowicie miał on udowodnić, że jest tym a tym, że posiada to a to, etc. A kiedy wahać się począł z przedłożeniem żądanych dowodów, poczęto uważać go jako „hochstaplera". Tego już było za dużo kandydatowi do małżeństwa, to też cofnął się i od tego czasu oświadcza, że się nigdy nie ożeni. Zdanie jego jest takie, że matki, ojcowie i bracia przyszłych żon, zachowują się zawsze jako ludzie mający interes na oku, nigdy zaś jako przyszli krewni.

Nr. 4 wydaje się pani von B. charakterystycznym dowodem na to, że najszlachetniejsi ludzie właśnie z powodu swoich szlachetnych motywów najrzadziej odnajdują prostą drogę, wiodącą do raju małżeńskiego. I czyż można wierzyć, że zdobędzie się tych mężczyzn przez nałożenie podatku na kawalerów?

W najlepszym razie podatek na kawalerów może mieć pewien wpływ na osoby, liczące się z materyalnymi stosunkami. Jest to jednak wcale nie wystarczającem, aby mogło usprawiedliwić jego wprowadzenie w życie.

Przez środki przymusowe niepodobna spotęgować ochoty do stanu małżeńskiego.

W razie gdy się chce córkę wydać zamąż, należy wszystek arsenał interesowny wyłączyć — a patrzeć w serce i nie tak znów bardzo zważać na toaletę córki i kaletę z pieniędzmi przyszłego zięcia. Zapewne, że podłoże materyalne musi być podstawą związku małżeńskiego. Ale przestrzedz chcę przed interesowną kalkulacyą małżeństwa przez rodziców córki. W tym wypadku następuje wyrzeczenie się poświęcenia, a nie rzadko odjęcie na zawsze wszelkiej ochoty do małżeństwa.

Nie należy lekceważyć liczby tych małżeństw, które z powodu takich konfliktów nie przyszły do skutku. I jakżeż potem dziwić się, że mężczyźni stają się nieufnymi.

Kronika naukowa.

Co ludzie jedli dawniej, a czego nie jedzą dzisiaj.

Szybkie rozmnażanie się ludności zaniepokoiło ekonomistów XIX wieku. Malthus i jego zwolennicy zaczęli wołać, że za lat kilkaset, a może kilkadziesiąt, ludzkości zbraknie środków do jedzenia w dostatecznej liczbie i że nastąpi wtedy masowe wymieranie z głodu, lub wojna krwawa jednych przeciw drugim. Dlatego nawoływali ci uczeni do ograniczenia przyrostu ludności. Stąd powstała niemoralna i nienaturalna teorya dwojga lub trojga dzieci, motywowana względami gospodarczemi.

Dzisiaj obawy zniknęły. Doświadczenie bowiem wykazało, że ilość pokarmów wzrasta w najnowszych czasach prędzej, niż liczba ludności. Z rozwojem kultury materyalnej i duchowej idzie nadto równomiernie zmniejszanie się urodzeń i aczkolwiek epidemie i wojny dzisiaj mniej pochłaniają ofiar, a nauka lecznicza przedłuża życie ludzkie, to jednak obawa przeludnienia w najbliższej przyszłości wcale nie powinna ogarniać ani obecnego, ani następnego pokolenia. Nauka dostarcza z każdym rokiem nowych materyałów spożywczych, coraz nowe rośliny stają się pokarmem ludzkim w mniejszej lub większej mierze.

A nawet te pokarmy, które codziennie pojawiają się na naszych stołach, różnią się co do swej jakości od dawnych, aczkolwiek nazwa ich i chemiczna zawartość pozostała ta sama. Chleb, mięso, jarzyna, cukier, oliwa nie są już dzisiaj tem samem, czem były przed 300 laty. Dzisiaj zabijane zwierzęta dostarczają dwa razy więcej mięsa, niż w wiekach średnich. Mięso bowiem jest obecnie daleko więcej tłuste, niż wówczas.

I smak ma inny, niż dawniej. Nic dziwnego więc, że dawniej stawiano na stołach dla biesiadników daleko większe porcye mięsa, niż obecnie, gdy mięso zwierząt zawiera więcej pierwiastków pożywnych.

Podobna przemiana nastąpiła w rybach. Przed 100 laty jedzono w Paryżu tylko ryby solone, ponieważ bez soli ryby zepsułyby się podczas transportu, zbyt długo trwającego. Na stołach arystokratycznych pojawiało się wtedy mięso wali lub psów morskich. Dzisiaj zniknęło ono zupełnie, aczkolwiek w ostatnich 40 latach konsumcya ryb podwoiła się prawie. W Paryżu spożywa się obecnie 10 razy więcej ryb, niż w r. 1789. A przecież gdy za Ludwika XV sprzedawano rocznie w Paryżu 8 milionów funtów solonych ryb, to dzisiaj na rynek paryski przychodzi ich zaledwie 900 tysięcy funtów. Nawet drobny mieszczanin zjada dzisiaj świeże ryby, co przed 10 laty należało do zbytku. W XIII wieku skazywały sądy na grzywnę handlarzy, którzy zamiast obiecanych kablionów dostarczali konsumentom łososi. Dzisiaj zaś każdy woli łososia, niż kabliona. Łososie były wówczas rzadkie, a więc drogie. Na stół Ludwika Świętego dostarczono łososia za 120 franków, w wieku zaś XV jeszcze za 60 do 65 franków, według naszej monety. Szybkość komunikacyi i zmieniony apetyt ludności, wywołały obecnie szybki spadek wartości ryb solonych i podniosły cenę takich ryb, których dawniej nikt nie wziąłby na stół przyzwoity.

Zniknęły z naszych stołów także łabędzie i pawie; jeszcze w XIV wieku kosztował paw według dzisiejszej monety 24 fran. Kury tuczone były przed 100 laty rzadkością, tylko wielcy tego świata i dzieci szczęścia mogli rozkoszować się temi specyałami. W średnich wiekach płacono za tuczoną kurę 20 fran., podczas gdy zwykła kura gospodarska kosztowała zaledwie 1 frank. Kury zwykłe były bowiem chude i małe, a sztuka tuczenia była jeszcze gospodyniom wiejskim dość nieznaną.

A masło, ser i mleko? Ilość krów wzrosła niestosunkowo szybko. Mleka dostarczają dzisiejsze krowy daleko więcej, niż przed 300 laty. Wówczas właściwie tylko przez 6 miesięcy w roku krowy dojono regularnie, podczas gdy przez pół roku krowy bujały swobodnie po lasach i pastwiskach. Mięso świeże było wogóle bardzo drogie. Funt kosztował w wielkich miastach, przy niedostatecznej aprowizacyi po kilka franków.

Wino przechowywano tylko w beczkach. Flaszek nieznano. Gdy przeto rozpoczęto toczyć wino z beczki, to musiano wyczerpać całą zawartość, ponieważ groziło zepsucie się tego, tak cenionego dawniej i dzisiaj napoju. Likiery i spirytualia były nieznane. Podniesiona kultura winnej latorośli dostarcza dzisiaj oczywiście bez porównania więcej wina niż dawniej. I nie jest ono już tylko specyałem bogatych.

Oczywiście inne panowały wówczas stosunki na wsi, a inne w mieście. Na wsi nie wiele się zmieniły zastawy stołowe. Te same prawie potrawy i te same napoje, co dawniej, są pokarmem dzisiejszego chłopa. Konserwatyzm to przymusowy, bo przyczyną jest bieda, nie pozwalająca chłopu na przyswajanie sobie kultury w postaci ryb, wina, tortów i tym podobnych gastronomicznych „cudów“.

Smutne losy Cooka.

Los, jaki spotkał dr. Cooka, zdegradowanego w niewielu tygodniach ze stanowiska bohatera-odkrywcy bieguna północnego na zwyczajnego oszusta stanowi wymowny przykład dla wielu spekulantów wiedzy.

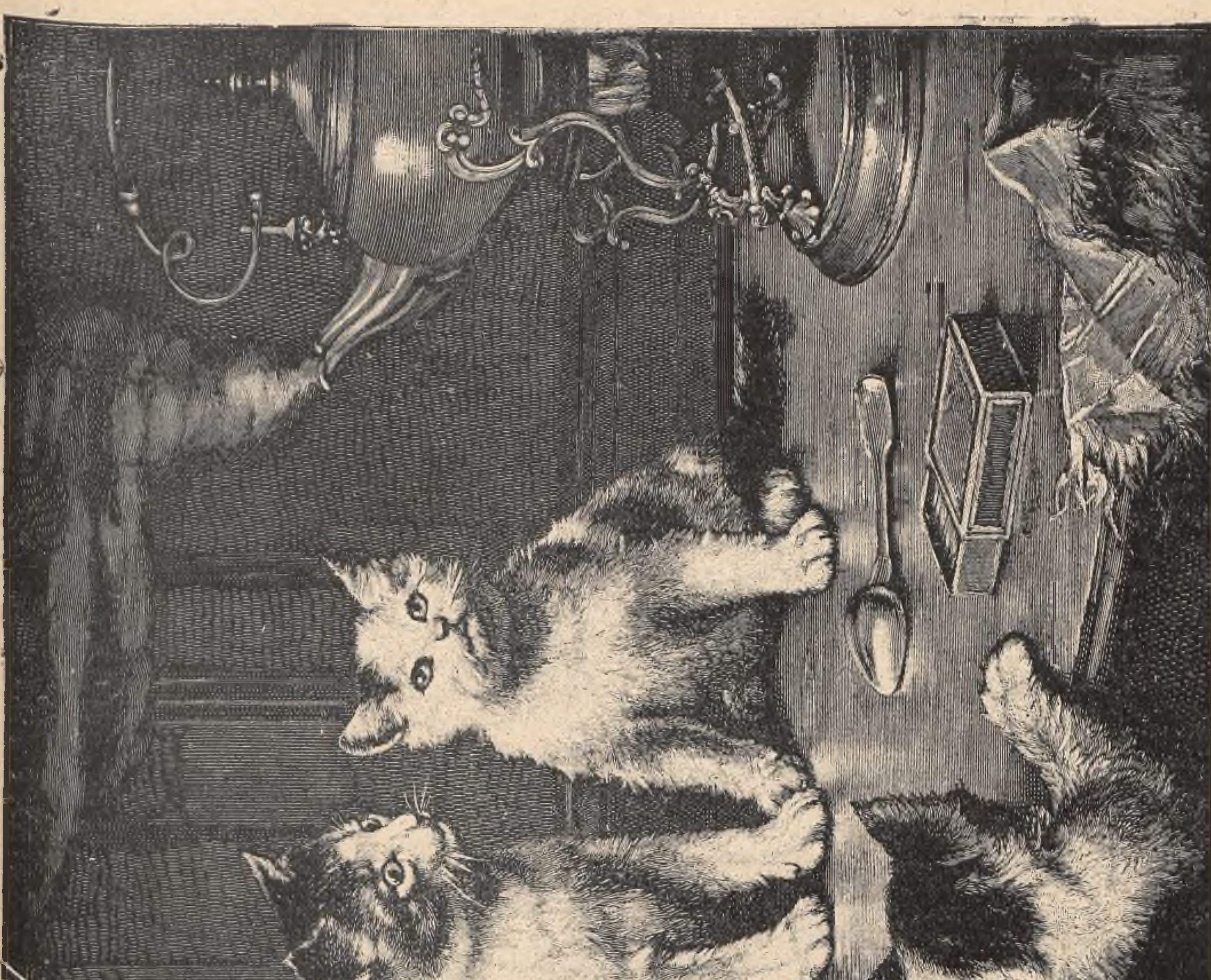
Nikt nie zostawia dziś suchej nikti na doktorze Cook'u, a dzienniki przelicytowują się w wyszukiwaniu jego dawnych oszustw, tak, jak niedawno jeszcze przelicytowywały się w przypominaniu dawnych jego i świeżych „bohaterskich“ czynów.

Ten dystansowy wyścig charakteryzuje doskonale ilustracya w pewnem zagraniczeem piśmie humorystycznem, gdzie w szeregu obrazków przedstawiono Cooka z milionem pod pachą (zaliczka od wydawcy na dzieło o odkryciu bieguna) jak ucieka przed policyantem, aż w tej ucieczce dosięga bieguna północnego.

Na złośliwość w podobnym rodzaju wobec niefortunnego badacza pozwoliła sobie nawet instytucya tak poważna, jak kopenhaski uniwersytet, ten sam, który zaraz po jego powrocie nadał mu tytuł doktora honorowego.

Po rozprawie, w wyniku której odmówiono Cook'owi prawa do nazwy odkrywcy bieguna, pozostały papiery jego, które przedłożono naukowemu trybunałowi. Pozostała kwestya, co z niemi zrobić. Czy złożyć je w archiwum uniwersyteckiem, czy w Bibliotece Narodowej?

Uniwersytet kopenhaski wybrał trzecią możliwość i postanowił papiery Cooka oddać — policyi kopenhaskiej do Muzeum kryminalistycznego, gdzie dostanie im się miejsce w oddziale — oszustów i fałszerzy!



Nieproszeni goście.

Jeżeli to jest prawdą, to złośliwość ta przechodzi ostatnie granice kompetencyi ciała naukowego!

Wobec tego, jakże się dziwić takiemu radcy sądowemu w Kopenhadze, Müllerowi, który opowiada w dziennikach, że kiedy był w zarządzie kolonialnym w Hartenbergu, Cook, powracający właśnie z wyprawy do Grenlandyi, kupił od niego dwie kołdry edredonowe za 500 dolarów i zapłacił czekiem na jeden z banków amerykańskich. Bank ów jednak odmówił wypłaty, twierdząc, że Cook nie ma w nim żadnych pieniędzy. Müller napisał do Cook'a — otrzymał jego odpowiedź z tłómaczeniem, ale nie otrzymał pieniędzy, a skutek dalszych jego zabiegów był taki, że w drodze konsularnej nadeszła do Müllera odpowiedź stwierdzająca, że Cook jest znanym w Ameryce oszustem i że nic od niego wydobyć nie można. Dopiero w sześć lat potem przyciśnięty przez Müllera, Cook zapłacił jedne trzecią długu.

Zwykły to los ludzi, którym powinęła się noga, że wypływają wtedy na wierzch różne nienawiści, prywatne porachunki i całe roje opowieści, w których prawdę od kłamstwa trudno odróżnić. Robi się takich ludzi złodziejami kieszonkowymi, wznawia się dawne przebrzmiałe historye, które może wyglądałyby całkiem inaczej, gdyby im się można przypatrzeć przez mikroskop nagiej prawdy.

Dziwna doprawdy rzecz, że człowiek, którego wszyscy znali jako oszusta, mógł cieszyć się takim kredytem moralnym.

Na uznaniu podróży Cook'a oszustwem nauka niewiele straci. Wszakże już oddawna stwierdzono, że zarówno jego wyprawa jak i ekspedycya Peary'ego, przedsięwzięta została w ten sposób, iż co najwyżej może mieć znaczenie „rekordu sportowego" a nie wyprawy naukowej. Ale to małostkowe znęcanie się nad człowiekiem, powalonym na ziemię, niemiłe robi wrażenie.

Ile kosztują wybory w Anglii.

Tocząca się obecnie zażarta walka wyborcza w Anglii zaciekawia niezwykle wszystkich; nie od rzeczy więc będzie podać niektóre cyfry wydanych sum na przedwyborcze agitacye i inne wydatki, połączone z forsowaniem kandydata, którego walczące stronnictwa ponad przeciwników przeprowadzić usiłują. Według dokładnych obliczeń ostatnie wybory w roku 1906 kosztowały naród angielski około 12 milionów rubli, w naszej monecie. Suma ta zawiera z drobiazgową ścisłością notowane najdrobniejsze wydatki począwszy od kartek wyborczych, druków, odezw etc. a skończywszy na markach listów, wysłanych przez wyborcze komitety do odległych okręgów wyborczych. Liczba kandydatów wynosiła wówczas 1273, na jednego więc z nich przypada koszt wyborów w kwocie 10,000 rubli; ponieważ jednak mandatów było tylko 670 więc cyfra wydatków każdego wybranego posła dochodzi 15,000 rubli. Cyfry te nie obejmują wszystkich kosztów ówczesnych wyborów, podają one bowiem wydatki tylko dwóch głównych zwalczających się partyi; dochodzą do nich kosztowne nieraz działania na własną rękę różnych stowarzyszeń przemysłowo-handlowych i innych, mające na celu poparcie akcyi tej lub owej partyi. Nawet te wydatki zdołali zliczyć zapobiegliwi i systematyczni Anglicy; wynoszą one około 10,000,000 rubli. Kandydat, stający do walki wyborczej musi albo sam łożyć na nią hojniej ze swej szkatuły lub też sowicie być subwencyonowanym przez stronnictwo, które reprezentuje.

Od chwili, gdy wkroczył on w szranki walki, oddany zostaje niepodzielnej władzy agenta wyborczego, który zajmuje się wszystkiem, nie zapominając naturalnie o sobie. A więc kandydat otwarłszy conto w jakimś banku, którego jest członkiem lub klientem, z całem zaufaniem musi powierzyć rozdział i ewidencyę wydatków owemu agentowi. Wogóle w czasie wyborów kandydat podlegać musi zupełnie władzy „wszechmocnego" agenta, ten kontroluje nawet jego osobiste wydatki, aby nie wydał gdzie pieniędzy przeznaczonych przez niego lub danych mu przez partyę na akcyę wyborczą. Agent ów dostawszy pieniądze kandydata rozpoczyna działać, a więc zaprowadziwszy dokładny budżet wydatków, sprawdzanych przez komisarza wyborczego, kontrolującego czynności agenta, według liczby wyborców danego okręgu. I tak naprzykład na 20,000 wyborców pewnej gminy miejskiej przeznaczono sumę 9,000 rubli, na gminę zaś wiejską przeznacza się dla tej samej liczby wyborców 17,000 rubli.

Zwalczające się dwie partye dążą, aby w wydatkach przewyższyć jedna drugą. Codziennie sprawdzane są wydatki przeciwnika i komitet obmyśla, co uzyskała już strona przeciwna, przy jakim nakładzie kosztów, i czy można to zdziałać „taniej", jeśli zaś nie, to sadzi się na rywalizacyę. W roku 1906 wydali agenci przeszło 1 milion rubli, tyleż samo prawie t. zw. pod-agenci i agitatorzy; druki, porto, telegramy etc. kosztowały

przeszło 4 miliony rubli. Zgromadzenia publiczne pochłonęły pół miljona rubli, osobiste wydatki agentów pół miliona, komisaryat wyborczy wydał przeszło 2 miliony rubli, reszta przypada na osobiste wydatki kandydatów etc. etc. Z 5 przeszło milionów głosów, złożonych do urn, każdy kosztował więc przeszło 2 ruble; jako najdroższe przedstawiły się głosy szkockie, najtańsze irlandzkie. Londyńskie wypadły po 2,60 rb., wogóle miejskie po dwa ruble. Najwięczej kosztowały głosy jednego z kandydatów M. S. Richardson'a, otrzymał on bowiem tylko 44 głosy, które po obliczeniu wydatków kosztowały go po 130 rubli każdy. Najtaniej wypadły głosy robotników, obliczają je bowiem po pół rubla. — Najlepsze jednak interesy na wyborach robią owi agenci, potrzebni stanowczo lecz kosztowni pomocnicy kandydatów; zarabiają oni po kilka tysięcy rubli za pomyślne przeprowadzenie kandydatury swego „pupila".

Złote ziarna.

(z Kraszewskiego.)

Któż się z godzinami życia rachuje, gdy o spełnienie obowiązku idzie.

Tryumf nad samym sobą daje dopiero wiarę własnej siły.

Uczucie spełnionego obowiązku twardego, czyni czasem człowieka szczęśliwszym, niż uleganie sercu i uczuciu.

Wiara jest jako sklepienie, z którego cegiełkę wyjąwszy runie wszystko.

Bóg co zsyła niepowodzenia, zawody i straty, każdem dotknięciem ma na celu wyższe dobro człowieka.

Niech każdy poprawia samego siebie, a więcej jednym chrześcianinem będzie na świecie.

Jak w pierwszych wiekach chrześciaństwa, kropla krwi męczeńskiej była nasieniem nowych męczenników, tak dziś wszelkie pokuszenie się o zagładę języka i wiary, nową jest siłą do odparcia i obrony.

TO I OWO.

Przymusowe związki małżeńskie.

Do zgromadzenia ustawodawczego amerykańskiego stanu New-Jersey wniesiono w tych czasach projekt bardzo niezwykłej ustawy, mocą której, starzy kawalerowie byliby zmuszeni do zawarcia związku małżeńskiego. Dobór małżonki ma się, według tej ustawy, odbyć drogą losowania. Ustawa ta, z radością witana przez wszystkie stare panny w stanie New-Jersey, ma zawierać następujące postanowienia: Wszystkie kobiety niezamężne, liczące powyżej 35 lat i wszyscy kawalerowie powyżej 30 lat, cieszący się dobrem zdrowiem, mają się w pewnym oznaczonym dniu stawić w urzędzie gminnym. Tu urzędnik zapisze na poszczególnych kartkach nazwiska wszystkich kobiet i mężczyzn, którzy się zgłosili, poczem kartki wrzucone będą do dwóch urn, z których jedna ma zawierać nazwiska kobiet, a druga nazwiska mężczyzn. Zwyczajem panującym przy wylosowaniach, urzędnik wyciągnie potem na „chybi trafi" kartkę z urny, przeznaczonej dla nazwisk mezkich i głośno je odczyta. Mężczyzna, którego nazwisko urzędnik przeczytał, ma natychmiast z drugiej urny wyciągnąć kartkę, zawierającą nazwisko przeznaczonej dlań małżonki. Po skończonem ciągnieniu, gdy już wszyscy mężczyźni będą w posiadaniu kartek, nastąpi przymusowe ich skojarzenie z wylosowanemi damami. Każdemu jednak z losujących przysługuje prawo postanowienia, czy związek małżeński ma trwać całe życie, czy też tylko przez 3 lata. Gdy po trzech latach małżeństwo nie będzie miało potomstwa, wtedy może nastąpić rozwód, ale tak jedna jak i druga strona rozwiedziona jest zobowiązana wziąć udział w następnem „ciągnieniu matrymonialnem" i wejść w nowy związek małżeński. Czy ten projekt ustawy będzie przez zgromadzenie ustawodawcze w New-Jersey przyjęty, dziś jest rzeczą bardzo wątpliwą, ale znaczna część opinii publicznej sądzi, że niema lepszego sposobu, aby zmusić starych kawalerów do spełnienia głównego obowiązku względem społeczeństwa.

Dziewczyna parobkiem.

Policya tarnowska aresztowała w tych dniach Władysława Zycha, rzekomego parobka, który służył w Tarnowie od lat sześciu. Zych będąc na służbie u niejakiego Fidora, namówił go do

wyjazdu do Ameryki, skutkiem czego zrozpaczona żona oskarżyła parobczaka przed policyą o to, że jej męża oczarował. Zycha zaprowadzono do lekarza i przy bliższych oględzinach okazało się, że jestto 18-letnia dziewczyna, która od dłuższego czasu ukrywała się pod przebraniem męskiem. Zabawny jest fakt, że Zychówna zalecała się do dziewcząt i wyłudzała od nich pieniądze.

Testament na karcie pocztowej.

Z Paryża donoszą, że trybunał departamentu Sekwany rozstrzygał w dniach ostatnich ciekawą sprawę spadkową. Bawiący w Nauheim Niemiec, chory na serce, nazwiskiem Böhm, wysłał do śpiewaczki operowej, panny Rousselet, kartę pocztową następującej treści: „Dziękuję pani serdecznie za przepyszne występy śpiewne, które pozwoliły mi zapomnieć o dotkliwych moich cierpieniach. W razie mej śmierci zapisuję pani cały mój majątek — wynoszący 350 000 franków — złożony w „Credit Lyonnais". Po śmierci Böhma panna Rousselet wystąpiła z pretensyami spadkowemi. Trybunał nie uznał prawomocności testamentu, gdyż, według prawa niemieckiego, testament jest nieważny, jeśli niema na nim daty i nie podana jest nazwa miejscowości, w której został spisany. Böhm zapomniał zaopatrzyć kartę pocztową w datę i nazwę miejscowości; stempel pocztowy zaś uznał trybunał za niewystarczający.

Akademia na otwartem powietrzu.

W okolicach Chrystyanii znajduje się wielki fiord, a w nim cały szereg ufortyfikowanych wysp i wysepek, które w razie wojny będą broniły zatoki. Najbardziej malowniczą jest wyspa Fredriksvaern ze starożytnym zamkiem i fortyfikacyami z XVII-go wieku; nadto zaś wskutek nieco odosobnionego położenia można tam obserwować przepiękną grę świateł na niebie i wodzie. Ponieważ w zwykłych czasach wyspa jest niezamieszkana, więc malarz szwedzki Sinding Larsen za pośrednictwem Stow. malarzy i rzeźbiarzy zwrócił się do ministeryum wojny z propozycyą, ażeby pozwoliło założyć tam „akademię na otwartem powietrzu" w związku z nowo otworzoną akademią sztuk pięknych. Ministeryum przychyliło się do prośby artystów pod niektóremi warunkami i od d. 1 czerwca rozpoczną się zajęcia, które trwać będą do 1-go października. Studenci i profesor otrzymają bezpłatne mieszkanie w zamku i każdy z uczestników będzie opłacał pewną minimalną sumę na „utrzymanie domu". Prowiant jest bardzo tani, gdyż ryby morskie i dzikie kaczki można mieć za bezcen w wielkiej liczbie. Naczelna zasada owej akademii brzmi: „Kobietom wstęp wzbroniony". Czy jednak zakaz powyższy nie wywoła konieczności postawienia wyspy w gotowości bojowej dla odparcia ataków flotyli zbuntowanych kobiet, to przyszłość pokaże.

Walka z paryskim bandytą.

Zeszłego tygodnia 24-letni bandyta na jednej z bocznych ulic w Paryżu, łączących się z bulwarem sebastopolskim, sztyletem i strzałami rewolwerowemi ranił ciężko czterech policyantów, którzy go chcieli ująć. Dwóch policyantów umarło, dwóch innych walczy ze śmiercią.

Morderca, olbrzymi mężczyzna, jest wielokrotnie karanym złodziejem i rabusiem. Czyn swój zamierzał on już od dłuższego czasu, gdyż w knajpie chwalił się, iż wkrótce kogoś zasztyletuje. Kiedy go chciano aresztować, okazało się, że ręce miał owiązane wstęgą, nadzianą szpilkami, tak, że każdy, kto go chciał ująć, musiał się zranić. Po zabiciu dwóch urzędników schronił się morderca do korytarza czwartorzędnego hoteliku, gdzie między nim a policyantami przyszło do krwawej walki. Dopiero po półgodzinnem szamotaniu się, udało się zbrodniarza ująć.

Skrzynka Redakcyi.

WP. St. B. w Cieszynie. List Pański otrzymaliśmy zapóźno. Umieścimy w następnym numerze. Pozdrowienie!

WP. Jakób B. w R. Za wyrazy uznania serdecznie dziękujemy. Zadowolenie Czytelników jest dla nas największem uznaniem.

WP. G. C., St. K., Br. K., S. C. — Równocześnie wysyłamy listy.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Na głos ten z lewej strony góry wysunęło się kilka milczących postaci czarnych, których rozeznać było niepodobna i po chwili otoczyły Karola i Stacha. Nic słychać, nic widać nie było... czuli tylko, że końmi nie władali, bo je wiedziono dalej. Po chwili ktoś zbliżył się i rzekł:

— Z koni! do pułkownika.

Karol zeskoczył spiesznie, serce mu biło.

— To mój luzak, ten przy koniach zostanie — rzekł — ja za dwu idę.

Nie było więcej pytań ni rozmowy; przed młodzianem szedł jeden, za nim w ślad drugi; ścieżka ich wiodła gdzieś w ciemności ku górze. Mówiono o obozie, ale nigdzie ani ogniska, ani śladu obozowiska dostrzedz nie było można.

Noc czarna, posępna zalegała dziką, pustą okolicę, zarosłą krzewami, obnażonemi jeszcze, zarzuconą obrywami wzgórzów opoczystych. Gdzieniegdzie dojrzeli coś nakształt ścieżynki wąskiej pod wysoką skałą nagą, to znów wspinali się pomiędzy obrywy, parowami i spuszczali przez wąwozy ponad któremi drzew skielety zwieszały gałęzie suche.

Na tle nocy wszystko to olbrzymiało, przybierało kształty dziwne, wyrastało w widma i widziadła poczwarne. Niekiedy górą błysnął szmat nieba... to znów przez splecione gałęzie jakby z zakraty trochę jasności, a potem szare mroki, a wreszcie nieprzejrzane nocy przepaście.

Karolowi zdawało się, że stąpa po chmurach, że idzie ku niebu, że się spuszcza w otchłanie i że przestał należeć do świata powszedniego, a wkroczył w nieodgadniony kraj cudów. — Serce mu potężniało, tak właśnie pragnął on wnijść w nowe życie.

Przewodnik począł się spuszczać zwolna w dół a Karol podniósłszy głowę nie dojrzał już nad sobą nieba szarego, ale jakby sklepienie czarne, ciemność jakąś nieprzebitą; owionęła go razem jakaś atmosfera podziemia.. a w dalekiej głębi blade mignęło światełko.

Na niebie czy na ziemi rozpoznać było niepodobna.

W tej szyi, która się zwężała, wiodącej jakby do pieczary... spotkali nową straż.. wymienili po cichu hasło.

Karol domyślił się wreszcie, że być musieli w jednej z tych pieczar okolic Ojcowa, o których słyszał nieraz, że się w nich wedle podań miał niegdyś ukrywać Łokietek... W nich to, powiadały legendy... z dwunastu rycerzami u kamiennego stołu siedzi Chrobry aż do dnia zmartwychpowstania... gdy konająca Polska o pomoc jego zawoła...

Czasem wilgotny powiew od wnętrza przeleciał muskając mu twarz... czasem kropla z góry upadła jak łza na rozgorączkowany policzek, gałązka jakby żywa trąciła witając przechodnia. Światło w dali rosło, było to jaby gasnące ognisko... przed którem przesuwały się zwolna czarne postacie... niby cienie olbrzymie ludzi...

W słabym odbłysku tego ognia zarysowywać się zaczęły mokre ściany, pieczary ginące gdzieś w górze i połamane w ogromne bryły, jakby toporami duchów. Niby urągowisko i groźba wisiał gdzieś odłam, który spaść nie chciał, aby zawsze spadać się zdawał.

Ścieżyna stawała się szerszą, ludzie szli coraz prędzej i pewniejszemi kroki, oko Karola ich wyprzedzało, serce biło... oswojony wzrok przebijał już ciemności i pochwycił obraz w istocie jakby z sennego wyrwany marzenia.

Tuż u wnijścia podłoga była z ludzi leżących pokotem. Kamienie to były zaklęte, czy znużeni żołnierze? oko z razu rozpoznać nie umiało. Przypominała się bajka o czarodziejsko w skałę obróconych rycerzach.

Na nierównej tej, pogarbionej przestrzeni, gdzie niegdzie wystawała dłoń ściśnięta i groźna, podnosiła się zwolna głowa, którą sen chwycił czuwającą i zwiesił tylko, nie złamał, jak uwiędły kwiat na łodydze. Z pod dłoni rozsypane świeciły szable, jakby tylko co puszczone.

Ludzie to byli żywi, bo na szmer ruszyło się głów więcej, jakby z ziemi wyrastały i w ciemnościach błysło kilka par oczów, jak wilcze ślepia, jasnych i krwawych. Podniosły się milczące i opadły z westchnieniem.

Dalej pozatym żywym wałem z ludzi płonęło ognisko to żywszym blaskiem gałęzi, to dymem niecąc czerwonym. Jakiś wiatr podziemny przyciskał kłęby dymu do dołu, potem uwolnione dźwigały się i parły uciekając gdzieś w głębie.

W lewo za tem żarzewiem, widać było pod skałą klęczącego starca. W ścianę wetknięty był krucyfix czarny, na którym złocisty Chrystus połyskał w prawo, a w lewo stały dwie chorągwie, oparte o opokę. Na lamie złotej rozpięty Zbawiciel, na złotej lamie czarna Matka Boska z Częstochowy.

Starzec się modlił, przy nim w habicie bernardyńskim klęczał ksiądz z wygoloną głową i jak on ręce miał wyciągnięte do Chrystusa.

Oba, odpowiadając sobie na przemiany i z cicha gorąco prosili Boga.

Twarz mnicha była żółta i sucha, a oko czarne i wpadłe, ręce jego zdawały się kośćmi bez skóry.

Starzec mógł mieć lat... któż zgadnie wiele? Lata idą po ludziach, jak pługi po roli, na twardej zaledwie żelezce zedrze skorupę — miękką rozerwie do głębi — któż pozna, ile tam razy przeszedł pług Boży po twardem obliczu męża, co cierpieć umiał?

Był wzrostu tych co w grobach leżą, a na których trumny trzeba było żłobić dęby kilkosetletnie; krzepki był i silen, a na karku wzbijała mu się dumnie głowa ostrzyżona nisko, z brodą obciętą krótko i spuścistemi wąsami.

Opięty był cały jakby suknią zakonną, szarą, wąską, rozprutą do końca po bokach, ujętą czarnym pasem skórzanym.

Na szyi miał z grubych pacierzy różaniec czarny, a przy nim trupią głowę kościanną i medeal i krzyż mosiężny, jak zwykli nosić mnichy.

Na lewej piersi u serca wyszyty był z sukna krzyż czerwony.

Z pod szyi nie odpiął ryngrafu z Matką Boską Częstochowską.

U nóg jego na ziemi leżała czapka rogata z czerwonym wierzchem. Szablę na rapciach skórzanych miał u boku.

Ze złożonemi rękami żylastemi, z wielką pokorą i namaszczeniem, z podniesionem w górę czołem, modlił się gorąco i wzdychał — oczu nie odrywając od ukrzyżowanego. — Dalej nieco usłane widać było, ale nietknięte łoże żołnierskie. Mała książeczka pobożna roztwarta na ziemi, tylko co znać było rzucona.

Usłyszawszy szmer i głosy za sobą, zwrócił się, a skinął niecierpliwie, aby mu modlitwy nie przerywano.

Żaden bo wówczas pobożny katolik nie przerwał służby Bożej dla sprawy ludzkiej.

Karol stał a patrzał, potem mu się same zgięły kolana i ukląkł modląc się po cichu. — Ale z krucyfiksu oko jego mimowolnie pociągnięte szło na tego starca poważnego, który w blaskach ogniska chwilami promieniał jak święty.

Z cieni dalekich głów kilka ciekawie wyjrzały, ale ich oczy tylko groźne i wąsy długie mignęły w dali i znikły.

Cisza była w pieczarze, tylko oddechy śpiących, jakby niewidzialnych duchów podziemnych stłumione jęki odbijały się o uszy, czuć było, że szły z piersi znużonych, zbolałych.

Starzec pochylił głowę, uderzył się trzykroć silnie w piersi i powstał powoli. Postać to była potężna, rycerska, czoło posępne, szerokie, ale spokojne choć poorane, oczy jasne, usta łagodne, przecież nie śmiejące się zbytnio gwoli światu i ludziom.

— Oto podróżny — rzekł głos z za Karola, który podniósł się z ziemi — wzięła go placówka w dolinie, było ich dwóch. Starzec patrzał długo.

— Kto? skąd? dokąd? — odezwał się spokojnie.

— Jestem Pluta ze Skały — jadę zaciągnąć się do konfederacyi.

Całą swą historyą w tych kilku prostych wyrazach zamknąwszy, chłopak pokłonił się rycersko.

— Ze Skały? to chyba wnuk pana Adama?

— A syn Jakuba — dodał Karol.

— Cóż to tak późno, dziecko moje — zawołał pułkownik ważąc słowa. — Czy za zezwoleniem rodzica i jego radą?

— Późno w istocie — odpowiedział przybyły — ale bom właśnie czekał rozkazu rodzica, a nie doczekawszy się, poszedłem za głosem sumienia. Nigdy zapóźno by służyć ojczyźnie.

Stary przybliżył się i rękę ciężką położył mu na ramieniu wpatrując się bliżej w twarz.

— O dobra krwi stara, nasza! — zawołał — dobra krwi, coś tam to serce w piersi rozgrzała.

Ależ, dziecko moje, w dni wesela i nadziei przyjść ci było, a nie na dni ostatnie zwątpienia i rozpacznej walki! Wiesz-że, co to ślubować ojczyźnie? Jeśli niewieście u ołtarza do śmierci przysięgasz, ojczyźnie nie mniej należy. A ta oblubienica nie przyniesie ci nic... krom palmy i całunu.

Jeżeliś nie ślubował...

— Ślubowałem w duszy mojej — przerwał żywo Karol — i nie złamię przysięgi.

Stary zmilkł, patrzał, w oczach mu pojaśniało...

— Dajże mi dłoń, daj — rzekł — tośmy towarzysze.

— Twoja niech mnie błogosławi! jam prosty szeregowiec — odpowiedział Karol — a żem dach mój rodzinny opuścił bez błogosławieństwa, bez pożegnania, zastąpże mi starego dziada i rodzica.

Dwie drżące dłonie wyciągnęły się nad głową pochyloną Karola, a pułkownik milczał... lub może modlił się cicho... potem ręką prawą ujął dłoń Karola.

— Siądź i spocznij — odezwał się — pomówmy. Wszystko to dobre, ale cóż myślisz z sobą? dokąd chciałeś się dostać? coś zamierzał?

— Myślałem tylko iść a bić się... chciałem tam być gdzie serc i rąk brak może... a dziś, gdzie Bóg przyprowadził, zostanę.

— Dziecko moje... Bóg wielki... ja ci nic nie powiem... Bądź tą ofiarą, jaką być pragniesz, ale wiedz...

Tu się zatrzymał.

— Wiedz co poczynasz — dodał z namysłem. — Nie są to już świetne dni pierwszej konfederacyi: bodajbym nie był prorokiem, jest to żywy protest dogorywający... przeciwko gwałtowi, który krwią podpisać potrzeba... bo ani sławy ani zwycięstwa nie spodziewam się dla nas. Myśmy straconym posterunkiem wielkiej armii przyszłości.

Przyobleczeni w kir, o głodzie i chłodzie... bijemy się, bo cofnąć się nie godzi... ale wybić się nie możemy... walczym tylko o mogiły.

Szkoda mi cię, dziecko moje! któż wie, przyjdą może czasy lepsze.

— Nie — zawołał Karol z zapałem — w tem co czynię, czuję wolę Bożą, a choćby mnie ona wiodła na największą ofiarę, pójdę z ochotą... zginę szczęśliwy za ojczyznę...

Starzec łzę otarł, jeszcze jego oczy mgłą zaszły.

— Hej! hej! — zawołał — gdybyś ty był przyszedł w porę, a z tobą gdyby był cały naród wstał na głos nasz, jako jeden mąż, gdyby każdy silen do dźwignięcia broni, ujął był szablę, a dosiadł konia, gdyby się Polska była rozległa naszą pieśnią pobożną, a poszła pod chorągiew Królowej, gdyby wodzowie byli zgodni, gdyby na siebie rachował naród nie na Turków, nie na Francuzów, nie na Rakuszan i na wszystkich wrogów swych, jużby dziś stopy wroga nie ujrzał na świętej ziemi naszej. I nie byłoby takich zaprzańców, co rosną ze zgnilizny jak wrzody ludzi, jak Branicki idących z Moskwą na swoich, nikczemników, co gorzej niż zgubę, bo spodlenie imieniowi polskiemu przynoszą.

Ale — przerwał po chwili kończąc — źle mówię — żal mi myśli pomieszał. Któż wyroki Boże odgadnie? drogi jego nie zbadane, ten wie, który z niebios patrzy, co z nas robaków uczyni... czy motyle jeszcze czy kroplę gnoju... Bo nic nie idzie darmo na świecie... ani prochu ziarno... a myśmy prochem... w ręku jego... narzędziem tylko...

— Przychodzisz, dziecko moje, w złą chwilę, ale ci robotnicy najdrożsi co bez nadziei zapłaty pracują... bo nagroda ich będzie wielka.

— To też, ojcze — rzekł Karol — jam nie rachował ani na sławę, ani na zwycięstwo... poszedłem, bom pójść był powinien.

— Tak święcie czynisz, — odparł pułkownik — ale gdy na ofiarę zabijają starego wołu, który już pługa nie pociągnie, mniej to żal... a tyś... w sile wieku!

— Jeśli rzeczy tak zrozpaczone, przerwał Karol — to wy byście raczej cofnąć się powinni. Stare głowy, w których żyje droga dawnych czasów pamięć, potrzebniejsze nam są niż młode dłonie.

Pułkownik popatrzał nań i drgnął.

— Dziecko moje! — zawołał — ja się cofnąć! ja cofnąć! Ty chyba nie wiesz jak się ojczyźnie ślubować powinno... Kto z nas poprzysiągł, raz ujął szablę a wyciągnął w pole... temu się już cofnąć nie godzi — porzucić chorągiew na hańbę, chronić głowy, nie wolno mu... powrócić do domu i pługa, przejednywać się sromotnie z tem, przeciw czemu walczył o gardło, wołając pomsty nieba i ludzi! Skazanym on jest iść, ginąć a gdy mu nie ześlą śmierci błąkać się, walczyć, cierpieć, sterać, ale mu już nie zażyć więcej spokoju u domowego ogniska... bo by się stał krzywoprzysiężcą.

— Znasz ty tę pieśń, z którą idziemy w bój, mój chłopcze?

Ze skowronkami wstaliśmy do pracy,
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy...
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy...
I hufiec Boży!
Bo kto zaufał Chrystusowi Panu,
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten de profundis z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie!

Gdy to mówił, zajaśniały mu oczy i ręce podniósł do nieba.

— Tak jest z nami — dodał — tyś wolny, bo nie przysiągłeś jeszcze... myśl i czyń wedle sumienia, albowiem stawszy się raz rycerzem Bożym, jak my woli swej mieć nie będziesz...

— Jam się poprzysiągł w duszy... — zawołał Karol — a świadkiem miałem Boga... ślubowałem i nie cofnę się...

— Niech ci Bóg błogosławi, ja odciągać nie będę... — rzekł pułkownik.

Czemuż ta nasza miła Polska, to gniazdo stare świętych i męczenników, więcej takich jak ty nie miały? Ale jad i zarazę wpuszczono w jej łono, wygaszono ogień święty, wytrzebiono dzieci jej.. aby na rzezańców służyły niewiernym.

Wiarę w Boga i siebie, to ognisko, przy którem grzaliśmy się wieki — zalano umyślnie... a głównie jego roznieśli na cztery wiatry.

Ale piorun Boży rozpali je na nowo...

Zamilkł, i była chwila smutnego rozmysłu dla starca, który ocierał oczy — a wesela dla Karola, w którem inaczej biło serce, bo się czuł jakby do nowego życia powołanym, wyświęconym zbroją i szablą na człowieka. Myśl wprawdzie wracała jeszcze po nad spokojny dwór w Skale, lecz zawstydzona uciekała od wspomnień dni szczęśliwych.

— Młodo, młodo — wstępujesz do naszego zakonu, odezwał się pułkownik jeszcze — ale wola to Pańska... Powtarzam ci, obrońców ojczyzny zakon jest, usque ad finem (aż do śmierci) — nie swawolna bijatyka i partyzantka... Biada tym co go pojmują inaczej, a rachują się z nim po ludzku. Pójść jak na zabawkę z chartem w pole i wrócić pod strzechę, pocałowawszy rękę królewską, pokłoniwszy się Moskalom, świętokradztwo i szyderstwo... Widzisz mnie... mam lat sześćdziesiąt z okładem, a więcej byłem na posługach macierzy niż doma. Dwór kędym się rodził, obrócili w perzynę, żonisko z żalu i tęsknoty zmarło, syna mi pod bokiem ubito... gdym blade czoło jego całował, a dusza mu z ust ulatywała.. sam ranę dostałem... A jeszczem na posterunku...

I nie zejdę już z niego, chyba... ad patres (do ojców).

— I ja przysięgam, że go nie opuszcz ę! — zawołał Karol.

Wymawiał te wyrazy, gdy się szmer zrobił u wnijścia, pułkownik wstał niespokojny i parę kroków podszedł naprzód.

— Pewnie to Samocha powraca... — rzekł — albo co przynosi! Jeździł rozpatrywać się w okolicy... Od strony Krakowa włóczą się oddziały moskiewskie, a mnie właśnie chciałoby się do Tyńca.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Mimowolnie prawie wygadawszy się z listem, Wolski sam siebie nastraszył i dłonią potarł niespokojny po czole.

— Pisujecie więc do siebie, tegom się domyślał. Żadna młodzieńcza miłość bez pióra i kałamarza obyć się nie może. Koniecznie potrzebuje się uwieczniać, choć w ten sposób.

Wojtuś począł się śmiać a Wolski, któremu to przykrość czyniło, zamilkł zachmurzony.

— No,mów dalej; słowo daję, uszanuję waszą miłość. Cóż pisze panna?

Na to pytanie długo nie było odpowiedzi.

Kajo się przechadzał po izdebce krokami wielkiemi i wzdychał. Tarł włosy rorzucone, łamał ręce.

— Helma na wszystko gotowa — rzekł jakby sam do siebie — ona wie, że ojciec nie zezwoli na to małżeńswo. Zdaje się, że ma za sobą matkę. Z matką nigdy nie mówiłem o tem. Gotową jest opuścić dom rodzicielski i iść ze mną w świat.

Wojtuś chwycił go za rękę gwałtownie.

— Szalony! zlituj się, nie mów mi tego. Nie daj się wplątać... opamiętaj. Matka... kraj... przyszłość! Zgubionym jesteś człowiekiem, jeśli to uczynisz. Rodzina będzie bez litości. Ściągniesz na siebie nieszczęście. Otrząśnij się, — uchodź! zaklinam cię.

Wolski stał nie dając po sobie poznać, co myślał.

— Jest gorzej niżeli sądziłem — począł garbaty — za dalekoście zaszli. Już nie o samego ciebie mi idzie, chodzi mi i o los kobiety egzaltowanej- nieopatrznej, poświęcającej się, nie rozmierzywszy głębiny, w którą chce skoczyć.

Odepchnięta przez swoich, nieprzyjęta przez naszych, — ona także byłaby nieszczęśliwą. Nie wiesz co to jest być przesadzonym w świat nowy lub oderwanym od wszelkich z ludźmi stosunków. Jestem starszy od ciebie, chłodniejszy od ciebie. Błagam cię zastanów się bacznie. Za chwilę szału życia oddawać się nie godzi.

— Za chwilę niebieskiego szczęścia! — zawołał z zapałem ręce składając Wolski.

Garbus spojrzał nań, głową zaczął potrząsać, usta wydął i jakby stan ten uznał zrozpaczonym, rzucił się w krzesło gniewny i smutny.

Po namyśle zerwał się jednak z siedzenia.

— Słuchaj Kaju — rzekł zimniej — o jednąbym cię rzecz poprosił, którą dla mnie uczynić możesz.

Wolski się odwrócił z pytającą twarzą.

— Rób, co chcesz — kończył Wojtuś — nie powiem nic, — proszę cię o jedno, nie spiesz się, błagam cię, — daj jej i sobie czas do rozmysłu.

— A jeśli ją naglić będą o wyjście za Liebenthala?

— O! nie frasuj się, jeśli nie chce wyjść, potrafi zwlec, choćby nieprzyszytą falbaną. Kobiety są w takich razach nieskończenie zręczniejsze od nas. Potrzeba namysłu, potrzeba próby samych siebie. W chwili takiego szału nie widzi się nic — ona sama rozmyślać nie może.

Wolski uśmiechnął się dziwnie.

— Wierzę najmocniej, że cię kocha, że ubóstwia — i nie mogło być inaczej, przyniosłeś jej z sobą woń poezyi i ideału, gdy dotąd żyła wśród najobrzydliwszej prozy. Rozumiem, pojmuję, nie dziwuję się — wierzę — ale zarazem błagam: nie spiesz się.

— Wszakże o pospiechu mowy nie ma — westchnął Wolski. — Dla mnie on już dla tego jest niepodobieństwem, że, jak widziałeś — dodał uśmiechając się smutnie — węgli nie było do pieca. Od trzech dni marznę w nieopalonej izdebce.

Dobył z pod szlafroka, którym był okręcony, nogę i pokazał Wojtusiuwi but w ruinach.

Garbus się uśmiechnął, jakby go na ten raz ta nędza wielce uradowała.

Oddychał wolniej.

— No — rzekł — godzina późna, czas do domu, mam jeszcze coś pisać.

Podał rękę Wolskiemu.

— A propos — wtrącił — jest rzeczą prawdopobną, że będę musiał na kilka dni wyjechać do Lipska.

— Po co? — zapytał Wolski.

— Mam głupi interes studencki, nie warto i mówić o tem. Wrócę prędko, spodziewam zastać w dobrem cię zdrowiu.. i może trochę ostygłego.

Powtarzam ci — kochaj się — nie mam nic przeciw temu, platonicznie!... doskonale. Nie platonicznie! wola twoja... eterycznie czy somatycznie — ale nie żeń się na miłość Bożą nie mając grosza przy duszy i to z dziewicą, która może być kolekcyą doskonałości i kompendium wszystkich cnót, ale rasa inna, plemię odrębne. Niemka! Niemka! Niemka! człowiecze, niech cię to przejmie zgrozą i trwogą i da ci jasnowidzenie przepaści, nad którą stoisz!

Więcej nie powiem! — Dobranoc!

I drzwi zatrzasnął za sobą.

Garbaty Wojtuś mimo swojego usposobienia żartobliwego i ironii, z jaką się był zwykł wyrażać o wszystkiem, miał najlepsze serce. Zdawało mu się tylko, że się z niem wydawać nie powinien, że toby oznaczało słabość — krył się więc ze swoją dobrocią, jak drudzy z zepsuciem się tają.

Dla Wolskiego miał przyjaźń starszego brata, a czując, że nieopatrzne chłopię potrzebowało opieki, nie wypuszczał go z niej nigdy.

Nie narzucał mu się wiedząc, że toby wyegzaltowanego mogło podrażnić — lecz przychodził w porę i miał talent przemawiania do niego tak, że często go Kajo posłuchał.

Oba byli rodziców nie majętnych.

Ojciec Wojtusia przez całe życie profesorował w jednej z wyższych szkół w Poznańskiem, a że najrzadziej profesor coś dzieciom zostawić może oprócz wykształcenia, Wojtuś i jego siostra nie wzięli po rodzicach nic oprócz biblioteki, ruchomości i mało znaczącego kapitaliku, który Wojtuś szwagrowi w całości ustąpił z warunkiem, żeby mu procent od niego opłacał, dopóki medycyny nie skończy.

Szwagier trzymał dzierżawę nie wielką od proboszcza w ...., szło mu nie ciekawie, procent przychodził bardzo nieregularnie. Wojtuś też lubił trochę żyć, stroić się i po cukierniach przesiadywać, choć się i uczył — stąd często talara brakło, ale się tem tak bardzo nie frasował.

Wyszedłszy od Kajetana, ręce w kieszeniach, zamyślony, garbus pociągnął spojrzawszy na zegarek do cukierni Spargnapaniego, gdzie, jak się zdaje, jeszcze któregoś z towarzyszów spotkać się spodziewał.

W istocie, chociaż godzina była spóźniona, w drugim pokoju siedzieli jeszcze znajomi a między innymi par extraordinaire hr. Ryszard Lwie Serce.

Był to kasyer wszystkich towarzyszów w potrzebie, pożyczali u niego zawsze a nie oddawali mu prawie nigdy, co tem mniej mu się czuć dawało, że nazajutrz nigdy nie pamiętał, czy kto co wziął u niego.

Zobaczywszy go siedzącego na kanapcie ucieszył się Wojtuś i wprost poszedł doń, odciągając go na stronę.

— Chcesz spełnić dobry uczynek?

— Ale zawsze — odparł Ryszard.

— Potrzebuję nie w moim interesie, ale dla kogoś, dla jednego z kolegów jechać koniecznie do Poznania a nie mam grosza przy duszy.

Ryszard chwycił za pugilares.

— Wieleż potrzeba? — zawołał.

— Bylem miał tam i nazad do Poznania, i żeby w drodze z głodu nie umrzeć.

Ryszard rękę trzymał na pugilaresie.

— No, ale wieleż?

Wojtuś czuprynę tarł.

— Gdybym wiedział, że szwagra zastanę w Poznaniu.

— Rachuj, jakbyś go nie miał zastać, trzydzieści będzie dosyć? hę? Mam pieniądze.

— Aż nadto.

Ryszard schylił mu się do ucha.

— Ty jedziesz dla Kaja, przysięgam.

— Ha.. może.

— Wszyscy mówią, że się żeni.

Wojtuś ruszył ramionami.

— Niech go Bóg uchowa! — zawołał.

— Panna jak aniou!

Ryszardowi oczy zaświeciły.

— A jaka piękna! — dodał.

— A widziałeś hrabia ojca, jaki brzydki? — spytał Wojtuś wzdychając.

Po chwilce poszeptawszy się rozeszli.

Wojtuś zniknął.

Nazajutrz nie było go w Berlinie a towarzysz, który stał z nim razem, mówił, że ma silny katar i lekarz mu przez dni kilka wychodzić zakazał.

Wieczorem nazajutrz poczciwy garbus był już w Poznaniu, lecz że pora nieco mu się zdała spóźnioną, odłożył do jutra zajęcie, przekąsił po spartańsku i spać się położył.

Wielka rezygnacya i chłodna krew dozwalały mu usnąć nawet, gdy miał najsilniejsze zmartwienie

Nazajutrz wyszedł wcześnie z domu a nie chcąc być widzianym, bo miał tu mnóstwo zna-

omych, bocznemi uliczkami udał się na Chwaliszew. Tu w małej obrukanej kamieniczce, której dół szewc, właściciel jej zajmował, wszedł już był do sieni i miał ciągnąć dalej na schody, gdy z bocznych drzwi w skórzanym fartuchu, wełnianej czapeczce i ogromnych okularach mosiężnych na koniec nosa spuszczonych, w pantoflach z butów wykrojonych zastąpił mu drogę niemłody mężczyzna wesołej twarzy. Mijając okulary popatrzył nań chwilę i zawołał.

— Pan Jezus przy dziecięciu! Pan Wojciech! a pan tu co robi?

— Tsyt... jestem incognito, panie Zarwański, proszę mnie nie nazywać po imieniu.

Szewc wielkiemi oczyma nań spojrzał.

— Cóż to pana za przygoda spotkała?

I pilno gołemi oczyma okulary obniżywszy patrzał na przybylca.

— Nic, nic. Mam tu interesik...

— Do kogo?

— Wszak pani Wolska tu mieszka?

— A jakże! na drugim piąterku... poczciwa kobieta. Szanowna osoba... tak, tak. Czy nie z synem jaka bieda? hę? To zawsze był szałaput...

— Nie, nie — to mój własny interes.

— Ale pan jej teraz nie znajdziesz, bo chodzi regularnie co dzień na ranną mszą do tumu.

Szewcowi się bardzo chciało czegoś dowiedzieć a Wojtusiowi jak najmniej mówić.

Pożegnali się.

— Nie bez kozery! — mruknął Zarwański do siebie.

Garbus był nierad, że go wyszpiegowano. Poszedł na górę.

Pierwsze tylko piąterko i szumnie drugiem nazwane poddasze zawierała kamieniczka. A że między sklepami na dole a wielkiemi oknami piętra było coś w sposobie entre-solu — poddasze liczyć się mogło śmiało za trzecie.

Schody drewniane, rozchwiane, nie były ani wygodne ani piękne. Zwężając się ku górze, stawały się coraz gorsze.

Mieszkanie znał z dawna garbuś, bo wdowa od dawna je też zajmowała. Drzwi znalazł zamknięte na klucz i nie prędko się dostukał.

Służąca była sama, wyszła do niego ze szczotką na ramieniu.

— A kogo to panu potrzeba?

— Pani Wolska?

— Pani Rejentowa na mszy św. O tej godzinie zawsze u fary.

— Długoż to potrwa?

— Bóg święty wiedzieć raczy, może będą suplikacye i „Przed oczy“.

Ruszyła ramionami.

— Albo to ja mogę obrachować.

— Moja panno — odezwał się Wojtuś — jestem dawny pani znajomy, przynoszę jej ukłon od syna. Dajże mi gdzie spocząć, póki nie nadejdzie.

Z pewnem niedowierzaniem przypatrzywszy mu się, sługa milcząc zaprowadziła go do obszerniejszej izby, podała mu krzesło i odezwała się głosem nakazującym:

— Tylko niech pan nic nie przewraca, bo się ejmość gniewa za to... a potem powie, że ja.

Wojtuś się rozśmiał i obiecał być grzecznym.

Miał czas przypatrzeć się ciekawemu pokojowi Rejentowej, który mu dawne przypominał lata, bo się w nim nic nie zmieniło od wieku. Czyściuchno tu było ale ubogo. Podłoga wymyta dwoma dożynami z szarego płótna zasłana, w małych oknach firaneczki białe misternie ułożone, przy jednem z nich klatka z dwoma kanarkami. Pod ścianą stolikowy fortepianiczek, jakaś pamiątka nieużywana teraz ale poszanowana jeszcze. Stare kanapki, nowemi siatkami pookrywane nie dla oszczędzenia ich, ale dla osłonięcia ubóstwa. Na stoliku kilka książek pobożnych w wielkim i sympatycznym porządku.

Między oknami na półeczce trochę filiżanek i szkła. Ściany zdobiły spłowiałe rysuneczki, stare daguerotypy i w ramki oprawne włosy, pod któremi stały daty zagadkowe dla obcych, wiele mówiące dla właścicielki: wszystko tu oznaczało skrzętnie tajone ubóstwo i oszczędność.

Wojtuś zamyślił się nad życiem kobiety, którego ostatki doprzędzała tu samotnie, między wspomnieniami tego, co znikło, i nadzieją jakiejś przyszłości.

Czuć było jednak religijny spokój w tym bycie zrezygnowanym i cichym. A on przybył tu, ażeby — ażeby niepokój i postrach przynieść z sobą.

Zawahał się nieco. Miałli powiedzieć wszystko, z czem przybył, lub milczeć? Przyjechał dlatego umyślnie — a wahał się jeszcze.

Miałoli to pomódz? a jeśliby nie pomogło pocóż truć kilka godzin spokojnych krótkiego życia biednej kobiecie?

Na ścianie uśmiechał się wizerunek Kajetana w latach młodzieńczych, z odłożonym kołnierzykiem, z puklami włosów na ramionach.

Profesor rysunku zrobił go był dla wdowy, bo chłopczyk był bardzo ładny.

Kajetan jeszcze teraz zachował te rysy niemal dziecinne, jak w duszy całą naiwność dziecięcia.

Pocóż ze swym chłodnym rozumem miał on się tu wciskać, nie mogąc ręczyć, czy widział jaśniej nim niż Wojtuś sercem?

Im dłużej patrzał, tem niepewność mocniej go dręczyła.

Pod oknem na stoliczku leżała zwinięta porządnie siatka, okulary i książka. Zdało mu się, że widzi Rejentową w białym czepku zadumaną nad robotą o swoim Kaju.

Powiedział sobie, że denuncyacya na niby się może nie zdała, a przyczyniłaby łez i niepokoju. Słowem, siedząc tak 'pod piecem podparty, postrzegł dopiero, że może jechał zupełnie naprózno i że powinien był wszystko to wcześnie rozważyć. Ale naprawdę dopiero widok tego pokoju — wprawił go w to zwątpienie.

— Na drugich gderzę — rzekł w duchu — a jakie też ze mnie samego dziecko! Dopiero tu zebrało mi się na rozwagę! Zdaje mi się, że Rejentowej nic nie powiem, podróż wezmę na własnego głupstwa rachunek i wrócę jak niepyszny ze wstydem.

Cóżby pomogło oznajmić jej wcześniej o tem, co się być zdaje nieuchronnem? Maż ona tyle siły i przewagi nad synem, aby powstrzymać go mogła? Co znaczy najboleśniejszy wyraz matki przy jednem spojrzeniu kochanki? Życie ma ostateczności obrzydliwe i straszne... rzeczywistość najpoetyczniejsza może być nielitościwie, okrutnie zbójecko ohydną! To matka, tamto obca, tu obowiązki, tam fantazya, ale to przeszłość a tamto obecność i życie.

Marzył tak garbus, gdy w drugim pokoju usłyszał szelest i szepty, a potem prędkim wchodzącą krokiem ujrzał Rejentową, ubraną bardzo skromnie, ale zarazem starannie... Rejentową, która doń obie wyciągała ręce uśmiechając się radośnie.

Pani Rejentowa nie była bardzo starą, miała lat pięćdziesiąt kilka, ale znać na niej było chorobę, znużenie i smutek wdowieństwa. Twarz jej wyżółkła i tęgo marszczona typem przypominała Kajetana, lecz życie nie rozwinęło jej do takiego blasku i siły.

Zdało się, że w połowie niedokończone rysy tworząc się stężały i zamarły.

Kajetan był podobny do niej, ale rozkwitły i rozwinięty.

W ustach miała uśmiech łagodny, na czole wypogodzonem rezygnacyę chrześciańską. Mimo wieku zachowała coś w sobie z panieńskiej skromności i obawy.

— Jakże się pan masz, panie Wojciechu — zawołała drżącym od radości głosem, — a! jakiżeś dobry, zacny, żeś też o mnie nie zapomniał. Cóż mi o Kaju przywozisz? List? nieprawda?

— A! nie! wyjechałem nagle, potrzebowałem się widzieć ze szwagrem. Chwilowo tylko na lekcyi Kaja widziałem, prosił mnie, bym rączki pani ucałował.

— Ale zdrów?

— Zdrowiuteńki.

— Jakże mu idzie?

— Doskonale... wybornie.

Wdowa usiadła i przysunęła krzesło blisko siebie Wojtusiowi.

— A! żeby pan wiedział — odezwała się wzdychając — jak mnie nieraz niepokój o niego opanowywa... od czasu, jak za tym Niemcem wpadł do wody, zawsze się Bóg wie co roi. Zdaje mi się, że mam przeczucie, że widzę niebezpieczeństwo... trwożę się, modlę i nie łatwo pozbyć mogę tych wrażeń.

Złożyła ręce na kolanach i wpatrując się w Wojtusia siedziała milcząca.

— Kajo chwała Bogu zdrów... nauka idzie dobrze.

— Czy ma on tam wszystko, co mu potrzeba? bo nigdy o nic nie poprosi! Pracując tak, przynajmniejby na niczem zbywać nie powinno, a tu często tak trudno dostarczyć.

Zarumieniła się oczy spuszczając.

— A! proszę pani — odezwał się wesoło Wojtuś — my młodzi nie wiele potrzebujemy, a Kajo młodszy i wytrzymalszy odemnie. Kiedyż człowiek ma więcej sił do znoszenia wszystkiego, jeśli nie za młodu?

— Cóż więcej! co więcej? mów mi pan o nim, jak wygląda?

— Bardzo dobrze. Radbym tylko może, ażeby mniej chodził do tych Niemców.

— Dla czego? — spytała matka.

— A! widzi pani, oni go trochę bałamucą tą swoją wdzięcznością, a to są czcze formy, bo oprócz grzeczności na nic tam rachować nie można.

— Dobra i grzeczność ich! — przerwała Rejentowa — zawsze Kajo zyskał choć dom przyjazny, za co Bogu dziękuję.

Wojtuś się zmusił do śmiechu.

— Ale bo tam ładna panna jest! — dodał jakby od niechcenia.

Wdowa się mocno zarumieniła, jakby nie miała marszczek i lat pięćdziesięciu.

— Bardzo ładna panna... — powtórzył Wojtuś.

— Ależ to Niemka — szepnęła nieśmiało matka — i to wielkie państwo.

— Ale młodość — pani dobrodziejko!

Szybko spojrzała mu w oczy Rejentowa, jakby z nich chciała wyczytać więcej, odgadnąć, niż mógł jej powiedzieć słowami.

— Kajo ma rozum — szepnęła po cichu — on przecie wie, że to do niczego nie prowadzi.

— Ja sądzę, bo i Niemka i luterka...

— Gdzieżby o czem podobnem nawet pomyśleć można. Kajetan dziecko, ani domu ani łomu.. my biedni... a sumienia ma i uczciwości tyle, iżby nie chciał bałamucić.

Ciągle mówiąc to przerywanemi słowy patrzała na Wojtusia.

Nagle jakby chciała przerwać rozmowę i szukała pozoru, wstała i zawołała zmieszana:

— Pan byś się choć kawy napił... a ja nawet nie proszę! o mój Boże!

Wojtusiowi kawy się wcale nie chciało, ale pragnął dłuższej rozmowy, a do niej ona była wybornym pozorem... Nie wyrzekał się więc bardzo.

— Dosiu! Dosiu! — zaczęła wołać Rejentowa — wszak śmietanka jest; prędzej! podaj machinkę... i sucharki... a żywo.

Usiedli tedy znowu.

— Nie powiem, żebyś mnie pan nastraszył... — zaczęła wdowa — mam ufność w Bogu, że moje niegodne modlitwy wyproszą dla mego Kaja opiekę... lecz — jeśli pan co wiesz... niech mi pan powie, proszę pana.

Chwilkę milczała, a Wojtuś nie miał siły i odwagi do zwierzeń.

— Kajo jest bardzo wrażliwy, ale o ile ja go znam — wrażenia u niego łatwo przechodzą.

— Otóż i ja się tej jego wrażliwości lękam — począł Wojtuś — panna, choć Niemka, ale rzeczywiście bardzo piękna, wymowna, oczytana i rozumna, a podobno ma słabostkę do Kajetana.

Rejentowa załamała ręce, znowu się zarumieniwszy.

— O mój Boże! — zawołała — ja to pojmuję, ocalił życie jej bratu... i — choć mój syn — trudno mu nie przyznać, że chłopak ładny, że podobać się może. Ci ludzie gotowi go posądzić... Ale tam przecie niema nic? — podchwyciła żywo. — Mów mi pan otwarcie.

— Proszę pani dobrodziejki — ja nie wiem... Kajetan mi się tak dalece nie zwierza, miarkuję tylko z niego, że panną trochę zajęty, a ona nim.

— Niemka! luterka! a to dzieciak! dwudziestego pierwszego roku nie skończył... — przerwała lamentując Rejentowa, której twarz pałać zaczynała — panu się to chyba marzy. On o nauce powinien myśleć jeszcze.

— Niech pani tak tego do serca nie bierze, mimowolnie się wygadałem — rzekł spokojnie Wojtuś. — Pewnie tam nie ma tak dalece nic — ale w liście niech mu pani żartobliwie napomknie, żeby się strzegł sideł niemieckich.

Rejentowa wsparła na ręku głowę i zamyśliła się, gdy do przedpokoju zadzwoniono. Poczęła się przysłuchiwać, spojrzała na zegar.

— To chyba poczta? — zawołała z cicha. — W tejże chwili Dosia weszła krokiem szybkim, w ręku do góry podniesiony trzymając list.

— Od Kaja! — zawołała porywając go żywo matka — pozwolisz pan! — chwyciła za okulary. Zapomniała już zupełnie o gościu, rozerwała kopertę, list otwarła.

Półarkusz zapisany był na wszystkie strony. Wojtuś spoglądając na twarz matki, z niej list mógł wyczytać i prawie jego się treści domyśleć. Z początku twarz ta promieniała radością, uśmiechały się usta, rozkoszowała się każdem słowem ukochanego dziecięcia... potem jakby mgła przesunęła się po licu, zaduma okryła twarz, ścisnęły się usta, ręce drzeć zaczęły... rumieniec schodził, bladość okrywała policzki, czoło, wargi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Alkohol a matka.

Jak strasznie głęboko i zatrważająco sięga w swych skutkach pijaństwo matki, wykazał światu prof. Pellman z Bonn (przytacza dr. Popiel w dziele „Kobieta wobec badań nauki spółczesnej“).

Pewna matka, jak dowodzą zbadane przez prof. Pellmana akta, była nałogową pijaczką. Urodziła się w roku 1740, a zmarła po 60 latach życia.

Owóż najściślej sprawdzono całe do dzisiaj pokolenie tej kobiety, które liczyło 709 osób.

W tej to liczbie znajdowało się nie mniej karanych sądownie, czyli jawnych przestępców: jak 7 zbójców, 76 złoczyńców różnej kategoryi, 144 żebraków z profesyi, 61 osobników było utrzymywanych w zakładach dobroczynności publicznej, a 181 córek, wnuczek, prawnuczek... uprawiało prostytucyę.

Miła ta i liczna rodzina, kosztowała rząd i społeczeństwo tylko około 4 milionów marek.

A moralna ohyda, zaraźliwość?!

Zresztą zbrodniczość, nierząd, wyzysk społeczny owego potomstwa, jak się one ujawniły w przytoczonych cyfrach, to napewno dopiero cząstka tego, co miało miejsce „w czterech ścianach“, i co dalej poszło w pokolenia.

Przytoczony przykład ścisły, to jedna z licznych ilustracyi tej prawdy, że przy nadużywaniu alkoholu przez rodziców u dzieci powstaje przedewszystkiem nałogowe pijaństwo, ataki furyi i rozmiękczenie mózgu.

Statystyka wykazuje, że w ogromnej ilości przypadków w trzecim już pokoleniu rodziców pijących, melancholia, hipohondrya, samobójstwo, a w czwartym przytępienie umysłowe, idyotyzm, zwyrodnienie i brak potomstwa, to stan normalny.

Stąd rody pijackie wymierają i to jest szczęście dla ludzkości. Ale nim taki lud wymrze, jak dowodzi przytoczony przykład, ileż natworzy za życia i po śmierci — nieszczęść, zbrodni?!

A właśnie w tym względzie alkoholizm kobiety-matki gra przeważną rolę.

Notowano i sprawdzono niejednokrotnie, że — jak to miało miejsce i w tej rodzinie, zbadanej przez d-ra Pellmana, wogóle po matce alkoholiczce dzieci daleko pewniej i szybciej otrzymują w spadku zwykłe następstwo pijackiego stanu, choćby ojciec był nawet zupełnie zdrowym, niż po ojcu pijaku.

Silniejsza organicznie natura mężczyzny znać raźniej opiera się „zwycięskiemu pochodowi“ Bachusa. Stąd też, tak rozpowszechnione dzisiaj familijne, czy to w domu, czy knajpie — picie zwłaszcza piwa, rozpija kobietę, a konsekwencye nie każą na siebie czekać.

Zatruta alkoholem matka, to zatrute potomstwo.

Więc i w naszych, zwłaszcza wiejskich i robotniczych stosunkach, częstowanie kobiet i dziewczyn na równi z mężczyznami alkololem, podczas rozmaitych okazyi (przyjęcia, dożynki, pogrzeby), jest wprost niecnością społeczną.

Walczyć z tem trzeba przedewszystkiem drogą rozumową — uświadamianiem skutków.

HYGIENA.

Pielęgnowanie włosów.

Ponieważ włosy są wytworem naszego ciała, dlatego stan ich jest zależny w pierwszym rzędzie od ogólnego pielęgnowania ciała.

Jeżeli się pielęgnuje i wzmacnia cały organizm należycie, wtenczas też będzie on mógł wytwarzać i zdrowy porost na głowie. Atoli w dzisiejszych warunkach kulturalnych, gdzie nieraz całemi dniami przebywamy w zamkniętych izbach lub nawet zakurzonych fabrykach i pracowniach, potrzebną jest jeszcze szczegółowa pielęgnacya włosów. Tu należy rozróżnić dwa działy odrębne: pielęgnowanie skóry na głowie i pielęgnowanie włosów. Hygiena włosów ogranicza się jedynie na pielęgnowaniu skóry — na tem tylko polu możemy usunąć braki istniejące, jako też w danym razie zapobiedz powstać mogącym cierpieniom. Zabiegi około samych włosów zaś mogą być tylko natury kosmetycznej i to ze względu, iż włos jest martwą nicią rogową, podobnie jak paznokcie. Przytem jednak trzeba zawsze stosować się do zasady, że najlepszym kosmetykiem była, i nadal z pewnością pozostanie, czystość.

Co się tyczy bezpośredniego pielęgnowania włosów, to przedewszystkiem należy zapamiętać sobie tę zasadę, że im włos jest miększy i cieńszy, tem staranniej pielęgnowanym być powinien. —

Zasada ta ważna przedewszystkiem dla matek, które nie powinny zapominać, że im cieńszy jest włos dziecka, tem też delikatniejszą jest jego skóra i jeżeli u dzieci z samego zarania nie stosuje się racyonalnego pielęgnowania, to włos w przyszłości będzie słaby i rzadki. — Do czesania używać grzebieni rzadkich z przytępionymi zębami oraz miękkich szczotek. Twarde szczotki obrażają przy użyciu skórę, zaś gęste grzebienie wyrywają i zdrowe włosy. Obrabianie zwłaszcza krótko strzyżonych włosów parą twardych szczotek może wyrządzić znaczne szkody włosom. Przestraszyłby się ten, ktoby przez mikroskop mógł zobaczyć swą skórę na głowie po takim rękoczynie. — Przedziałki na głowie mają tę wadę, że utrudniają porost na obnażonem miejscu. Lecz znacznie gorsze następstwa pociąga za sobą tak ulubione obecnie fryzowanie włosów za pomocą rozpalonego żelazka, gdyż, nie biorąc nawet w rachubę nieuniknionego prawie osmalenia, powoduje się raptowne osuszanie włosa, przez co tenże staje się kruchy i wypada.

Farby na włosy oddziaływają zwykle szkodliwie; jeżeli ktoś niemi koniecznie się chce posługiwać, to niechaj wybiera takie, które nie zawierają domieszek ołowiu, arszeniku, miedzi, lapisu, amoniaku itp. — Wydzielina gruczołów łojowych, ów tłusty, oleisty łój skórny, w prawidłowych warunkach nadaje potrzebnej włosom tłustości, a zatem i naturalny połysk. Zbytecznem jest w takich razach używanie jakiegokolwiek tłuszczu na włosy w postaci pomady itp. Gdy jednak czynność gruczołów łojowych jest niewystarczająca, a włosy są zbyt suche twarde i bez połysku, wtenczas do namaszczenia włosów po należytym wymyciu głowy trzeba używać olejku lub pomady które powinny być zawsze świeże. Najlepszą w tym względzie okazuje się lanolinowa pomada, która najłatwiej wnika w substancyę włosową, czyniąc przez to włos miękkim i elastycznym. Dobrą pomadę lanolinową poznaje się po tym, że wkrótce po namaszczeniu włos nie wyczuwa się zatłuszczonym.

Zamiast lanoliny można także używać oliwy nicejskiej z alkoholem. Roztarłszy jedną kroplę oliwy i dwie krople alkoholu w dłoniach, naciera się włosy obu dłoniami. Zbyt mocno namaszczone włosy wydzielają zawsze woń nieprzyjemną i wymagają przez to znowu częstszego mycia.

(Dokończenie nastąpi.)

Najmodniejsza fryzura.

Przy całem bogactwie nowych pomysłów, jakie roztacza moda w dziale sukien i kapeluszy, trudnem jest do uwierzenia, że w układzie włosów spotykamy niezmierną jednostajność, jakby zupełny zanik gustu i fantazyi osobistej u wszystkich elegantek a narzucenie przez modę jednego typu uczesania, przyjętego jednomyślnie, jakby niewolniczo przez ogół kobiet.

Uczesanie to w Paryżu rozpowszechniło się pod nazwą *coiffure Recamier* albo *coiffure romaine*, nie wiadomo dlaczego tak nazwane, boświem niczem nie przypomina tej nazwy. Uczesanie to wygląda następująco: włosy, zakarbowane bardzo lekko, tworzą rodzaj płaskiego koka otoczonego płaskim, wcale nie splecionym promieniem włosów, przytrzymanym kilkoma wielkiemi szpilkami rogowemi, jasnemi czy ciemnemi stosownie do koloru włosów, zaokrąglonemi lub prosto ściętemi w górze, ozdobionemi brylancikami.

Rzadko która z pań czesze w ten sposób własne włosy, ogół używa oddzielnej postiche (zwanej Sans Gène) w kształcie małej czapeczki czy peruczki, zakładanej na wierzch głowy i otoczonej własnemi włosami służącemi na gładką opaskę. Przy małych włosach opaska jest przypięta a swoje włosy tworzą kok płaski, zaczesany na podłożonej krepinie.

Przy balowem takiem uczesaniu opaska z kwiatów lub z aksamitki i pereł czy brylantów, idzie brzegiem uczesania nad czołem na uszach, zakrytych całkowicie włosami.

Do naszych Gospodyń.

Aby módz Szan. naszem Czytelniczkom, Dobrym Gospodyniom dać jak najwięcej urozmaicenia w dziale „Dom i kuchnia" o który to Szan Paniom w pewnej mierze chodzi, zanosimy prośbę, do Nich o współpracownictwo w tym właśnie dziale.

Niech każda z pań zechce łaskawie przesłać nam przepisy: potraw, legumin, ciast, konserw, konfitur, jednem słowem wszelkich przysmaków, przez siebie wypróbowanych, a będziemy jej za tę przysługę nieskończenie wdzięczni.

Niema bowiem Gospodyń, któreby nie miały swoich „sekretów", dla działu kulinarnego tak bardzo ważnych. Może więc niejedna z Pań zechce

uchylić rąbka tych tajemnic i w ten sposób przystąpi do współpracownictwa.

Nie tylko co kraj — to obyczaj, ale co okolica, — ba co dom — to jakaś uprzywilejowana dobra nie droga, a smaczna potrawa. —

W nadziei że Sz. Panie prośbom naszym nie odmówią otwieramy w piśmie naszem specyalny nowy dział na ten cel i to: „Przepisy naszych Gospodyń.

Dom i kuchnia.

Pierogi z mięsa.

Wziąć mąki pszennej, 4 żółtka, trochę słodkiej śmietanki, osolić i zagnieść ciasto, aby nie było twarde, a dało się wałkować w cienkie plastry. Poprzednio trzeba przysposobić farsz do nadziewania pierogów następującym sposobem: wziąć funt mięsa wołowego, (można też dodać trochę świeżego łojku), ugotować, zemleć na maszynce lub drobno usiekać; $^1/_4$ funta masła zasmażyć w rondelku, zetrzeć na tarce 2 lub 3 cebulki, włożyć mięso siekane, osolić, opieprzyć do smaku, wlać maggi, wymieszać dobrze i nakładać łyżką małe porcye farszu na rozwałkowane ciasto. Przykrywszy mięso ciastem, wykrawać zgrabne półkola. Brzegi ciasta skleić białkiem. Następnie ugotować pierogi w słonej wodzie, wyłożyć na półmisek, polać masłem z bułeczką i podać na stół.

Potrawa z prosięcia w szarym sosie.

Młode, tłuste prosię pokrajać na kawałki i ugotować w rosole z włoszczyzną. Sos przygotować w następujący sposób: sporą ilość masła zarumienić z półtora łyżki mąki, rozprowadzić odcedzonym rosołem, dodać pół ćwierci funta obranych i pokrajanych słodkich migdałów, ćwierć funta sułtanek, kilka łyżek octu, wina i trochę tłuczonego angielskiego korzenia, wkońcu zafarbować karmelem, aby sos był rumianego koloru.

Marchewka duszona ze szparagami.

Młodą marchewkę pokrajać w talarki lub z grubej wydrążyć łyżeczką od wydrążania owoców małe groszki, które ugotować w lekko osolonej wodzie, do miękkości. Wyjąwszy na sitko, ugotować w tej samej wodzie szparagi, pokrajane w drobną kostkę. Zaprawić następującym sosem: Na 4 osoby: rozebrać smakiem, zasmażyć łyżeczką masła z 2-ma łyżeczkami mąki, w którym się jarzynki gotowały, dodać 2 żółtka surowe dobrze rozbite, trochę cukru, włożyć obie jarzynki, poddusić 10 minut.

Na wydaniu wsypać trochę młodego koperku, drobno usiekanego.

Puding amerykański.

Pół funta mąki, pół funta miałko utartej bułki, 1 łyżeczka soli, tyleż goździków i angielskiego ziela, miałko utłuczonych, 2 łyżeczki cynamonu i tyleż „rostu". Wszystko to dobrze wymieszać i przesiać, do tego pół funta rodzynków sułtańskich i ćwierć funta cykaty drobno pokrajanej. Teraz nastawić na ogień kwaterkę mleka z kawałkiem masła wielkości jajka do zagotowania; ubić 3 jajka z ćwierć funta miałkiego cukru, wmieszać w to pół szklanki gęstego syropu cukrowego, wlać w to mleko podczas gotowania, wymieszać i ostudzić. Nakoniec dodać do tego trochę smaku cytrynowego lub utartej skórki, wymieszać razem z poprzednią mieszaniną na równą masę, wlać w formę blaszaną, by ją wypełnić tylko na dwie trzecie głębokości, i gotować, ciągle zanurzone w wodzie, przez 4 godziny.

Podać na stół oblane szodonem.

Placuszki deserowe.

Ćwierć funta masła świeżego, tyleż cukru miałkiego, 3 całe jaja, ubić lub utrzeć razem na białą lekką pianę, do tego 4 łuty migdałów łuskanych i usiekanych bardzo drobno i pół funta pięknej mąki pszennej, a po wymieszaniu dokładnem, kłaść łyżką na blachę masłem wysmarowaną, a po posmarowaniu ciastek żółtkiem i posypaniu cukrem, piec w wolnym piecu.

Czyszczenie skórkowych rękawiczek.

Pewną ilość mąki zmieszać z gazoliną w filiżance lub misce, by była gęsta masa. Masą tą pokryć należycie rękawiczki, a gdy uschnie, wyszczotkować mąkę.

Gdy się spinki przy rękawiczkach oderwą, zacerować ładnie z odwrotnej strony rozdarcie, przyszyć małe guziczki, zrobić dziurki naprzeciw — i rękawiczki są znowu do użytku.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Czernina z kluseczkami, kaczki pieczone z kapustą, krem owocowy.

Poniedziałek. Bulion z pasztecikami, polędwica z jarzynami, omlet z konfiturami.

Wtorek. Zupa grochowa z grzankami, barania pieczeń z ryżem w rozsypkę, kompot z ciasteczkami.

Środa. Krupnik z kaszą perłową, pieczeń wieprzowa z marchewką, szarlotka z jabłek.

Czwartek. Rosół z makaronem, sztuka mięsa w sosie chrzanowym, legumina zimna.

Piątek. Zupa grzybkowa, smażona ryba z sałatą, naleśniki z marmeladą.

Sobota. Barszcz z uszkami, zrazy polskie z kaszą, galareta ponczowa.

:: HUMORYSTYKA ::

MIGAWKI.

JÓZEK.

III.

Mój lokator.

Od kilku dni jestem słomianym wdowcem. Ponieważ zostałem sam jeden na całem mieszkaniu, przeto wziąłem do siebie na czas kilku tygodni mojego kuzyna Józka prosząc go, by mi był pomocnym przy mojem gospodarstwie.

— Człowiecze — rzekł Józek — na moją propozycyę, zobaczysz, jaki będziesz miał raj w domu, ja przecież jestem kawalerem, znam się na wszystkiem, zgotuję ci rano śniadanie, wieczorem kolacyę, wskażę ci, gdzie można dostać najlepsze obiady, będziesz ze mnie kontent — jeszcze dziś wieczór wprowadzam się do ciebie, bo i tak wymówiłem mieszkanie.

Wieczorem zjawił się Józek. Jakiś mały chłopak niósł za nim walizkę.

— No, chwała Bogu — rzekł Józek — już mieszkam u ciebie.

— Ale ty się lubisz puszczać — powiadam mu — a mnie głównie chodzi o to, aby ktoś spał u mnie, bo niechętnie sypiam sam.

— O — rzekł Józek — ja teraz jestem całkiem inny. Nawet sobie to wymawiam, że o dziesiątej wieczór mamy być w łóżku, o szóstej rano wstajemy, a ja sam zajmę się śniadaniem. Jednem słowem — będziesz miał raj. Do posługi będzie tu przychodzić ten mały. Nazywa się Mikuś i służy u mnie już od pięciu miesięcy. Jestem z niego bardzo zadowolony. To syn mojego dawnego stróża. Mikuś, podwyższam ci pensyę o trzy szóstki na miesiąc, ale masz się sprawować dzielnie. Teraz możesz iść, a jutro przyjdź rano o szóstej!

— Dobrze, proszę pana — zawołał uśmiechnięty Mikuś — i odszedł.

— A teraz idziemy spać — powiada Józek — ja ścielę, jak najlepsza pokojówka. Tylko jeszcze trzeba budzik nastawić na szóstą rano.

Za kwadrans byliśmy już w naszych łóżkach a w chwilę później Józek chrapał. Nie pamiętam, kiedy zasnąłem, ale o szóstej rano zbudził mię hałaśliwy dzwonek budzika. Zaglądnąłem do drugiego łóżka, ale Józka już nie było. Podobało mi się to bardzo, że wstał tak wcześnie i poszedł do kuchni przyrządzać śniadanie.

Chciałem się ubrać, ale na krześle nie było mojego ubrania, tak samo przed łóżkiem nie znalazłem trzewików.

— Poczciwy chłopak ten Józek — pomyślałem — nawet i o tem pamiętał, by mi oczyścić z kurzu garnitur i buciki; już tam razem z Mikusiem w kuchni pracuje. Żeby tylko tak dalej...

Zadzwoniłem. Nikt nie przychodzi. Dzwonię drugi raz, nie ma nikogo. Wychodzę z łóżka i idę do kuchni, wszędzie pustki. Cóżby to być mogło? Może sam poszedł po bułki do śniadania? Wracam do sypialni a przed łóżkiem, w którem spał Józek, leży jego wyszarzały garnitur i trzewiki z wytartymi obcasami. A więc ubrał się w moje buty i garnitur? Nie inaczej. Otwieram jego walizkę i znajduje tam jeden manszet, kawałek z krawatki, dwa noszone kołnierzyki, lornetkę, pomadę na wąsy i jakiś termometr. W dodatku zamknął mieszkanie na klucz i poszedł. Ale dokąd? I kiedy? Zaczynam się niecierpliwić. Wołam przez okno dozorcę.

— Słuchajcie Macieju, czy nie widzieliście gdzie tego pana, który u mnie nocował, taki przystojny blondyn z cwikierem?

— A, proszę pana — mówi dozorca — wychodził stąd jakiś pan około dwunastej w nocy i mówił, że pan sam za niego zapłaci szperę, mówił, że idzie do doktora, bo mu się słabo zrobiło.

Myślałem że się wścieknę. Kręciłem się boso po pokojach, nie wiedząc, co mam począć. Razem z moim garniturem zabrał mi wszystkie pieniądze i klucze od szaf, skutkiem czego nie mołem wybrać sobie innego ubrania. Około godziny 8 zapukał do mnie Mikuś.

— Nie mogę otworzyć, bo twój ładny pan zamknął mnie i poszedł jeszcze w nocy.

— A to ja już wiem, ja go zaraz znajdę i sprowadzę — rzekł Mikuś, zbiegając po schodach.

W dwie godziny potem wrócił Józek w okropnym stanie, wsparty na Mikusiu, niby na lasce. Nie poznałem mego ubrania.

— Nie gniewaj się — bełkotał Józek — ale słabo mi się zrobiło, i te... i to... i poszedłem na lekarską wystawę hygieniczną.

Po tych słowach rzucił się na łóżko i zasnął.

Klewe.

Ma wprawę.

— Czy pan już kochał kiedy?

— O kilkanaście razy.

— Jakto? I śmiesz pan mi wyznać swą miłość?

— Ależ to właśnie powinno panią umocnić, że umiem kochać!

— Dla czego?

— Mam wprawę!

Karyera.

— Co się stało z pańskim synem, panie Karolu?

— Został zbieraczem monety.

— Jakto?! numizmatyką się zajmuje?

— Nie, ale wstąpił do podróżującej kapeli.

Uczciwy.

— Ach, panie Ignacy! Ukradłeś mi całusa!

— Wielka mi rzecz! Ukradłem, to go mogę napowrót oddać!

W szkole.

— Czy wiesz dlaczego kukułka składa jajka do cudzego gniazda?

— Nie wiem, panie profesorze. Zdaje mi się, że i kukułka też nie wie...

Zasypał go.

Imieniny pana domu. Dla bliskiego koła przyjaciół przynoszą z piwnicy omszałą butlę wina.

— Panowie — mówi gospodarz, rozlewając w kieliszki wino — ta butelka pamięta jeszcze mego dziada, ma przeszło 40 lat, piąty krzyżyk! Daję słowo.

— Phi! — odzywa się na to radca Zet, wytrawny smakosz i znawca, próbując zachwalonego wina — że butelka liczy sobie piąty krzyżyk, to być może, ale co do wina, kładę veto: ono znacznie młodsze!

Moda.

— Chciałabym nabyć kapelusz, ale podług najnowszej mody.

— Proszę pani na parę minut usiąść i poczekać. Moda właśnie się zmienia...

Za głupstwo.

W celi więziennej siedzi trzech wyrokowanych świeżo.

— Przepraszam za śmiałość — pyta jeden drugiego — za co pan siedzi?

— Ja, ech! za głupstwo.

— Czyżby.

— Słowo honoru! za guzik!

— Za guzik?

— A tak! Kazałem sobie krawcowi zrobić palto modne. Szelma krawieta przyszył mi guziki do palta, co prawda z masy perłowej, ale tak wielkie, że niech go pierony!

— I co?

— Ano, szedłem przez Żabią w piątek, w południe... ścisk, tłok, nie do wytrzymania! no i niechcący czyjaś dewizka złota zaczepiła się o mój guzik! A pan dobrodziej? za co pana uwięzili?

— Ja? za głupstwo! za marną czterdziestówkę?

— Za czterdziestówkę?

— I to jak dwie krople wody podobniusieńką do prawdziwej...

Zwracają się wówczas obaj do trzeciego więźnia.

— A pan za co siedzi?

— Ja, za nic!

— Także za głupstwo?

— Jeszcze więcej niż za głupstwo!

— No, co?

— Za to, żem się spóźnił trochę na pociąg.

— I za to cztery łata?

— Taka już sprawiedliwość!

— A coby było, żebyś się pan nie spóźnił?

— Tobym zdążył uciec za granicę i bym teraz nie siedział z wami w więzieniu!...

— Cóż to za jegomość?

— To jest znany krytyk.

— Cóż on krytykuje?

— On nic nie krytykuje; on jest ciągle tylko w krytycznem położeniu.

W karczmie deszcz lał na konie podróżnego, ten mówi do arendarza:

— Żydzie, czemu nie dasz naprawić dachu?

— No, jakże naprawić, kiedy deszcz pada?

— To go napraw jak będzie pogoda.

— Na cóż dach naprawiać, kiedy będzie pogoda? wtenczas nie potrzeba.

Tylko dobry

gramofon



może w kółku domowem sprawić wielką przyjemność i zupełnie zastąpić wszelkie instrumenty. — Ponieważ posiadam

gramofony

li tylko z pierwszorzędnych fabryk i sprzedaję takowe po cenach oryginalnych fabrycznych, mogę je zatem Szanownej Publiczności najsumienniej polecić. Proszę się osobiście przekonać, **bez przymusu kupna!**

Płyty do gramofonów

zupełnie czysto i wyraźnie grające, z dwóch stron ograne już od 2,00 mk. począwszy.

Fonografy i wałki w wielkim wyborze

„Camera" Z. Śniegocki

Pierwszy specyalny skład gramofonów i aparatów fotograficznych.

Reparacye gramofonów tanio i dobrze!

Obszerne katalogi z ilustracyami na życzenie darmo w dom.

Podróże zbiorowe: **Programy bezpłatnie.**

Riwiera: Medyolan — Genua — San Remo — Mentona — Monte Carlo — Nicea — Cannes. Odjazd 1-go lutego. Cena 400 marek. 13 dni w podróży.

Włochy: Południowa Francya — Riwiera — Całe Włochy — Sycylia. Cena 780 mk. — 30 dni. Odjazd 18 lutego.

Algier — **Tunis** — **Biskra** (Sahara). Odjazd 7 marca. **Hiszpania**. Odjazd 5 kwietnia. **Morze śródziemne,** Ateny, Konstantynopol. Odjazd 6 kwietnia.

Biuro podróżn. J. Wierzbicki & Sp. München, Dachauerstr. 4

Co dopiero wyszła w 3-ciem wydaniu znakomita książka kucharska

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież śpiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur. — Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny, str. 360. Cena bez oprawy 2,20 mk., z opr. 3.00, porto 20 fen. Należytość uprasza się nadsyłać naprzód przekazem do

Księgarni Katolickiej, Poznań, ulica Jezuicka 5.

Uwaga: Makary był jednym z najlepszych kucharzy polskich, który sztuki gotowania uczył się w Francyi i Anglii, a wróciwszy z podróży po Europie, osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce podane nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte na własnem, długoletniem doświadczeniu i dla tego każdy przepis jest bardzo dobry i zaspokoić może największe wymagania. — Można zamawiać także i za zaliczką pocztową.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Dr. med. Antoni Szac,

lekarz specj. w chorobach kobiecych i położnictwie

były pierwszy asystent tajnego radcy profesora dr. Ehlersa i profesora dr. Krukenberga w Brunświku i były asystent prof. dr. Strassmanna w Berlinie,

mieszka **w Berlinie W.,**

Bayreutherstr. 32, wysoki part.

tuż przy Wittenbergsplatz.

Pensjonat „Quo vadis"

w Wrocławiu, dobrze prosperujący, położony blizko głównych ulic i dworca, składający się z 8 kompletnie urządzonych pokoi, światłem elektrycznem i telefonem jest zaraz do nabycia. Reflektanci zechcę się zgłosić pod adresem:

Hr. Wrschowetz,

Breslau — Blumenstr. 10. p.



jak

Arystokratyna

mydło, krem, puder,
proszek do mycia

fabryki perfum i kosmetyków

aptekarza

Z. Rittera Następcy

Poznań O. 1

są podług obecnego stanu wiedzy niezbędne do pielęgnowania płci.

Złoty medal Lwów 1908 — **Złoty medal Poznań 1907**

Do nabycia wszędzie.

Redaktor odp. na Galicyą Teofil Cholewicz w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.". — Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odp. Józef Zieliński w Poznaniu.